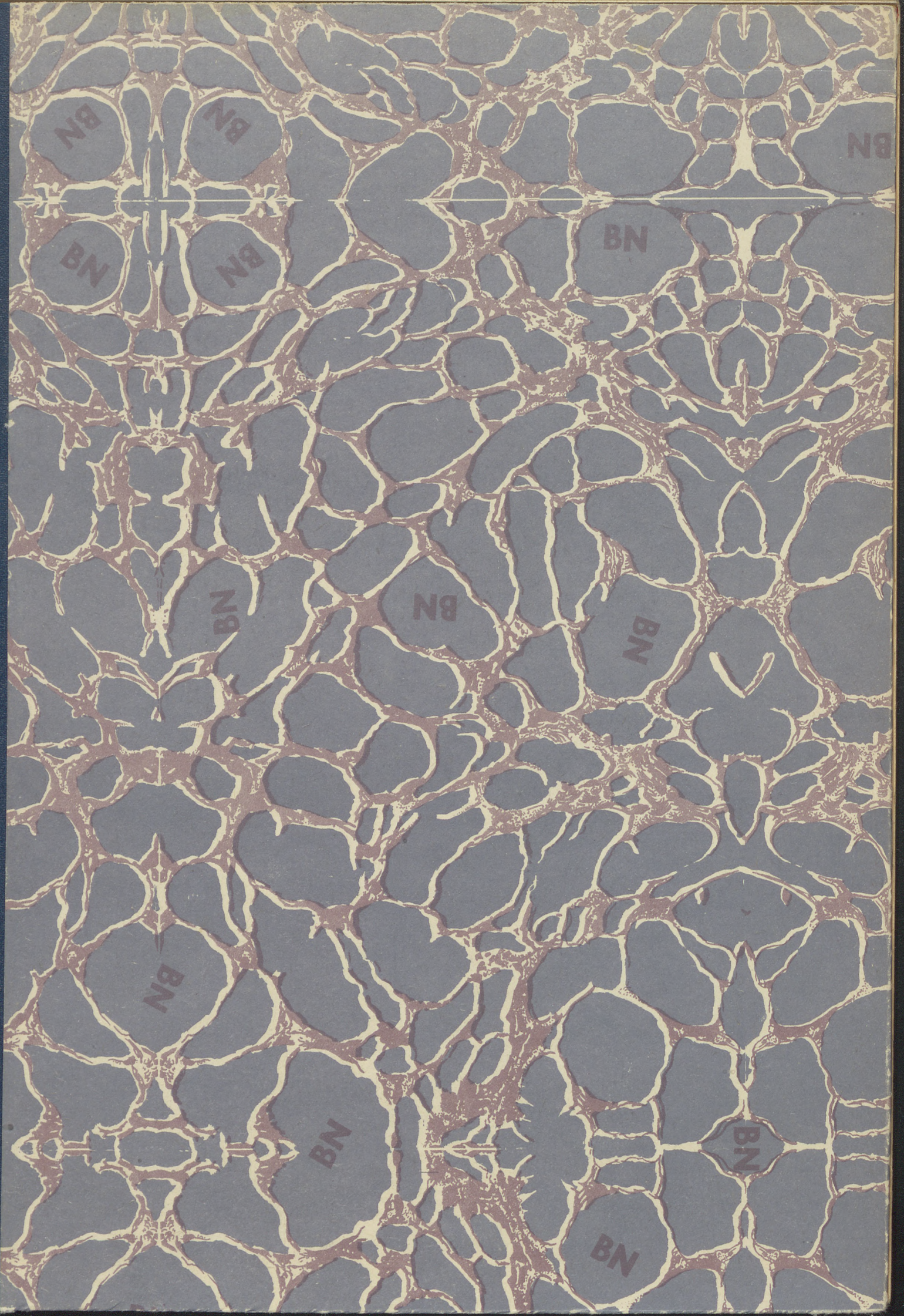


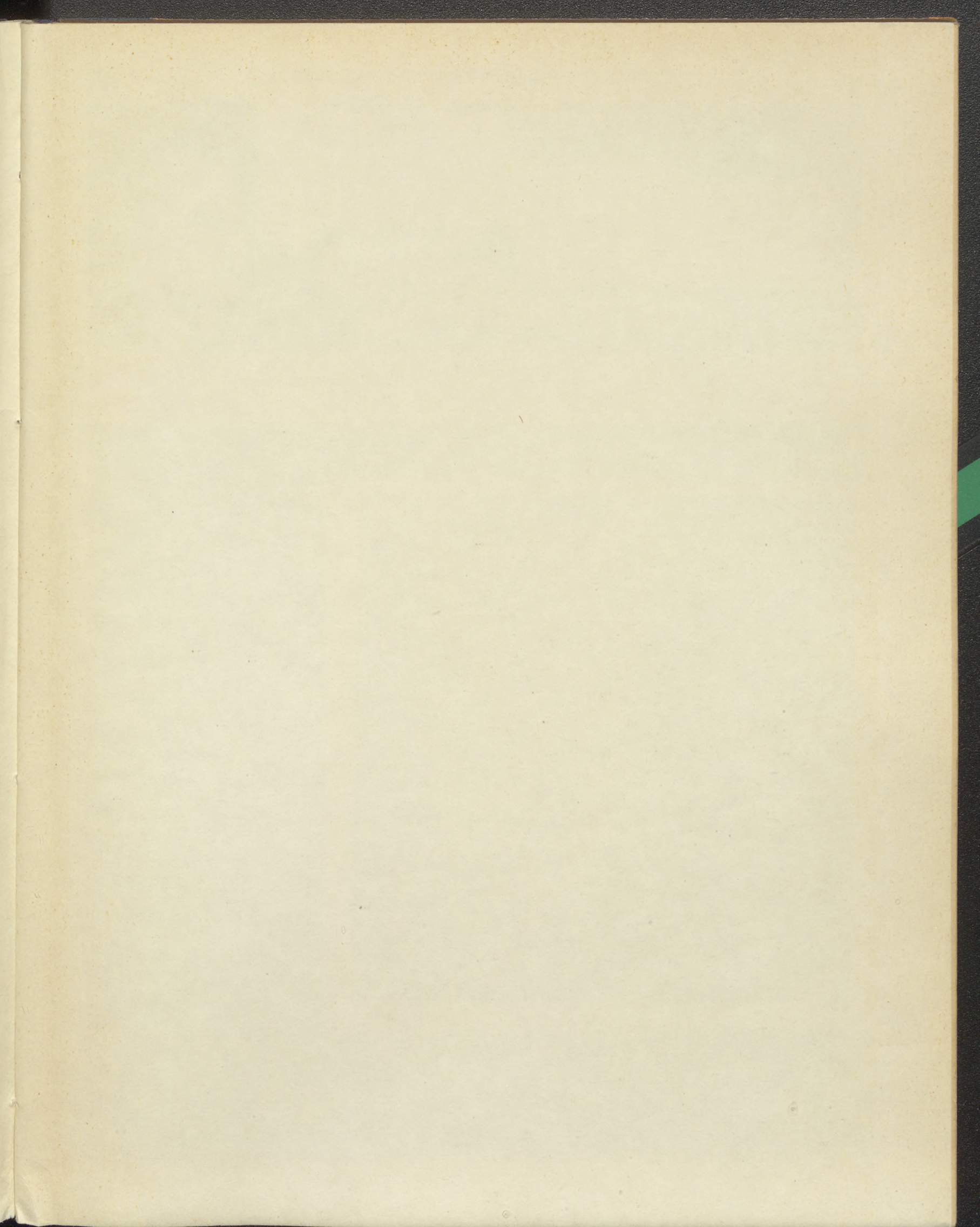
11

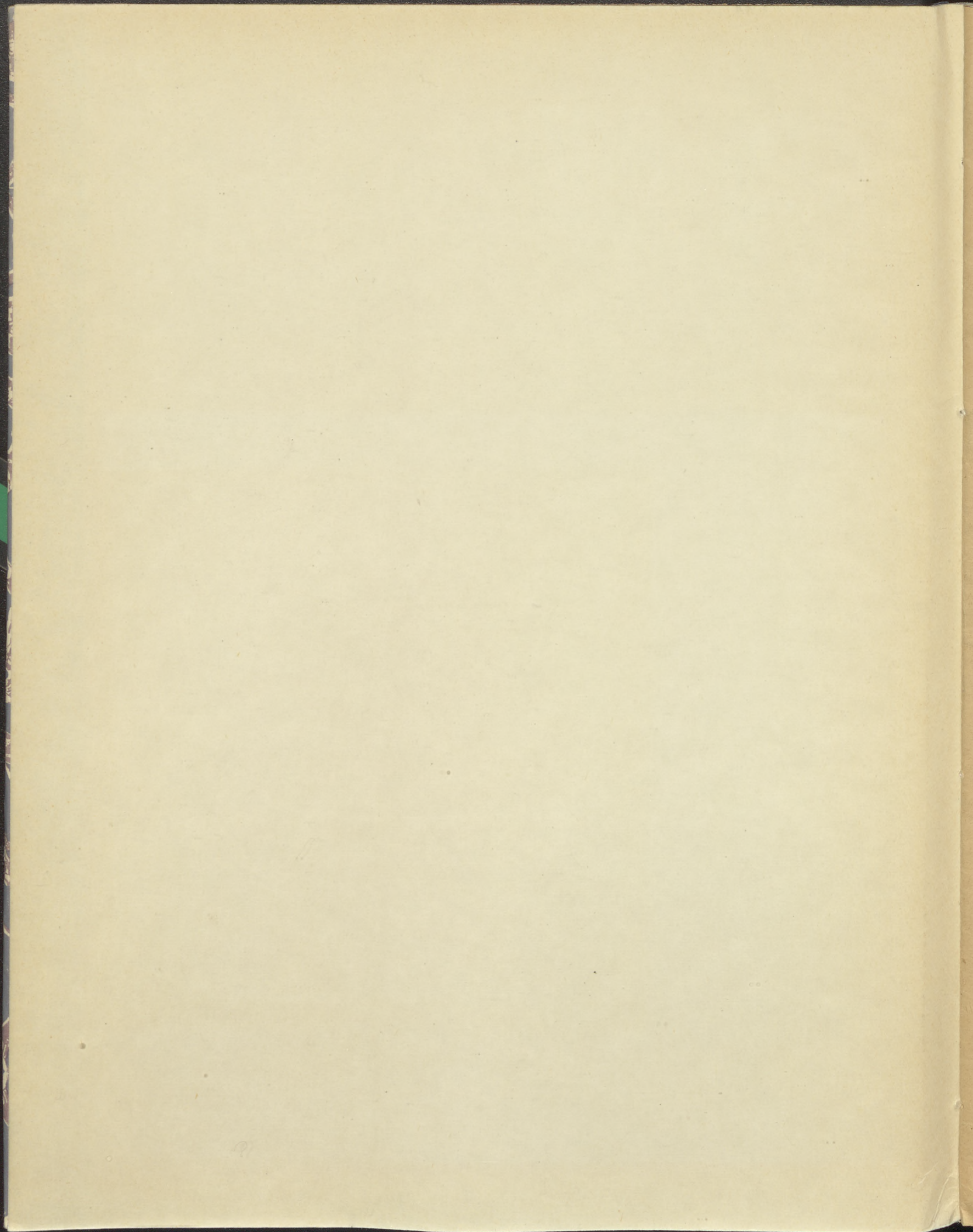
623405





The main body of the page is a large, blank area of aged, cream-colored paper. It shows signs of wear, including faint smudges and a small dark spot near the bottom center. The paper has a slightly textured appearance and is set against a dark background.





Nr. 11.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10gr



ARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

KORONKI KROLOWEJ



WYDAWCA
WARSZAWA



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

KORONKI KROLOWEJ

Zagadkowe postanowienie

— Mylord prosi pana, Mr. Dickson... Proszę wejść...

Detektyw niemal uroczyście wprowadzony został do wspianego apartamentu w pałacu lorda Warwick.

Czekając na pana domu, Harry Dickson rozglądał się uważnie dookoła.

Nagle schylił się i podniósł z podłogi zgnieciony, różowy papierek. Detektyw uśmiechnął się i schował go do kieszeni.

W tej samej prawie chwili otworzyły się drzwi i do salonu wszedł lord Etelred Warwick.

Był to wysoki, szczupły mężczyzna o wybitnie arystokratycznej powierzchowności. Twarz jego zdradzała szlacheckie położenie i starą, dobrą rasę. Czynił wrażenie typowego angielskiego gentlemanna, o pięknej, białej brodzie i szpakowatych skroniach.

Harry Dickson skłonił się przed nim z szacunkiem, lord zaś wyciągnął w jego kierunku obie ręce i serdecznie go powitał:

— Jakże się cieszę, że przyszedłeś drogi Dicksonie! Dziękuję ci bardzo, żeś tak szybko stawił się na moje wezwanie.

— Mylordzie, — odparł Harry Dickson uśmiechając się, — gdyby detektyw nie okazywał takiego pośpiechu, jak strażak, którego wzywają do ugaszenia pożaru, często zjawiałby się już za późno. A pożary, które my musimy gasić, są zazwyczaj bardziej niebezpieczne.

— Masz rację, mój drogi przyjacielu, — Lord wskazał uprzejmym gestem fotel.

— A teraz pragnąłbym pomówić na temat dotyczący mnie, a raczej jednego z moich krewnych. Lord Warwick westchnął głęboko.

— O ile się nie mylę, mylordzie, zmarł ktoś z pana najbliższej rodziny, a mimo to, mam dowód...

— Jaki dowód?

— ...Że mimo to poszedł pan wczoraj wieczorem do kabaretu „Picadilly“.

— Skąd pan wie o tym? — zawołał ze zdumieniem lord. — Przecież byłem tam po raz pierwszy. Czy był pan na sali i zauważył mnie pan w łóżku?

— Nie, mylordzie, wczoraj — już o dziesiątej wieczór leżałem w łóżku, a mimo to wiem, że był

pan wczoraj w kabarecie „Picadilly“ i siedział pan w łóżku na pierwszym piętrze. Dodam jeszcze, że zakupił pan całą łożę i wyszedł w czasie przerwy.

— Jest pan jasnowidzem, Dickson! Jak pan się o tym dowiedział?

— Przez zwykły przypadek — odparł detektyw wyciągając z kieszeni mały, różowy papierek. — Znalazłem ten bilet w tym pokoju na dywanie... Ponieważ jest on tylko raz przedziurkowany, domyśliłem się, że wyszedł pan w czasie przerwy i więcej nie wrócił.

— Proszę przyjąć wyrazy mego podziwu, Dickson... Należy się panu tytuł „króla detektywów“. Posiada pan niesłychany dar spostrzegawczy i jest pan doskonałym psychologiem. Dlatego też zaprosiłem pana do siebie.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, mylordzie... Proszę mi łaskawie opowiedzieć, o co chodzi?

— Pamiętam doskonale, że niejednokrotnie oddawał pan naszej rodzinie wielkie usługi. Ale wątpię, czy miał pan kiedy do czynienia ze sprawą tak zagadkową, jak ta, o której będę mówił. Możliwe nawet, że odmówi mi pan swej pomocy... Trzeba mi a-nowicie, za wszelką cenę nie dopuścić do małżeństwa, które przyniesie wstyd naszej rodzinie i nieszczęście niewinnemu dziecku.

— Przeszkodzić w zawarciu małżeństwa? Muszę się przyznać, mylordzie, że nigdy nie podejmowałem się podobnego zadania. Pomagałem wprawdzie kochającym sercom w sensie łączenia ich, ale nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek przeszkadzał...

— Chodzi o mego siostrzeńca, lorda Haralda Dumbarton.

— Znam go doskonale... — przerwał detektyw. — Lord Dumbarton jest przecież żonaty! Poślubił w swoim czasie pannę Warwick.

— Tak jest. Córkę mojego jedynego brata, który zginął w Indiach. Maria miała wtedy zaledwie dwanaście lat i uważałem za swój obowiązek zastąpić jej ojca. To prześliczna dziewczyna... Niech pan spojrzy, na jej portret...

Czy widział pan kiedyś bardziej piękne i regularne rysy, delikatniejszy profil, cudowniejsze oczy? Harry Dickson przez kilka minut nie mógł oderwać oczu od pięknego obrazu.

— To prawda — szepnął — uroda lady Marii jest olśniewająca.

— Była... — mój przyjacielu.

— Była — powtórzył lord ze smutkiem. — Pochowaliśmy ją osiem lat temu. Umarła na złośliwą gorączkę, wobec której lekarze byli zupełnie bezsilni. Nie pomogły starania i opieka, odeszła od nas na zawsze...

Pozostawiła po sobie małą córeczkę, imieniem Violetta, która jest ładną podobną do swej nieszczęśliwej matki.

Po stracie żony lord Dumbarton wpadł pod wpływem rozpaczony w kompletną apatię.

Obawialiśmy się nawet o jego zmysły... Dopiero długa podróż na południe przywróciła mu równowagę duchową.

Czas ukoił rozpacz Haralda. Uspokoił się trochę i z rezygnacją zniósł swój los.

Nie znam mimo to drugiego człowieka, który tak długo, jak on, nosiłby w duszy żalobę po ukochanej żonie. Zrozumie pan wobec tego moje zdumienie, kiedy dowiedziałem się wczoraj o dziwnym postanowieniu mojego siostrzeńca.

★

— Lord Harald mieszka razem ze swą córką Violetta w majątku Dumbartonów na wyspie Wight. Zamek ich znajduje się w najbliższym sąsiedztwie letniej rezydencji królewskiej i prawie cudem nie uległ wywłaszczeniu.

Wczoraj rano siostrzeniec mój Harald niespodziewanie złożył mi wizytę.

Biedny chłopiec wydawał mi się bardzo zdenerwowany. Od czasu śmierci ukochanej żony żył samotnie tak, że widywałem go bardzo rzadko.

Rzecz prosta, że powitanie było serdeczne. Po spacerze wróciliśmy do pałacu na obiad.

Przy stole, siostrzeniec rzekł do mnie:

— Drogi wuju, czy zechciałbyś wyświadczyć mi przysługę?

— Będę rad, jeżeli będę mógł zrobić ci przyjemność.

— A więc proszę cię, abys poszedł ze mną dziś wieczór do kabaretu „Picadilly“.

Oniemiałem i nie wierzyłem własnym uszom.

Pustelnik z zamku Dumbarton, mizantrop i odludek decyduje się nagle na podrzędny lokal o wątpliwej reputacji.

Z drugiej jednak strony, szczerze przyznaję, uradowałem się. Był to bowiem dowód, że Harald porzuca wreszcie swój dotychczasowy tryb życia i wraca do świata i ludzi...

Zależało mi bardzo na tym, aby siostrzeniec opanował się, powtórnie ożenił i dał swej córeczce odpowiednią opiekę. Rozumie pan, mr. Dickson, że płatna guwernantka nie jest w stanie zastąpić matki.

— Oczywiście...

— Siostrzeniec mój mógłby łatwo znaleźć sobie odpowiednią żonę. Jest to człowiek zamożny, ze starej, dobrej rodziny o bardzo miłej i ujmującej powierzchowności i żywej, bogatej inteligencji. Ale zawsze gorąco bronił się przed małżeństwem. Dowodził, że po stracie Marii nie mógłby już pokochać żadnej innej kobiety. W końcu ustąpiłem.

Nie chciałem mieszać się w prywatne sprawy mego siostrzeńca, chociaż kochałem go bardzo i byłem z nim zaprzyjaźniony.

— A więc poszedł z nim pan do kabaretu, ulegając temu dziwnemu życzeniu?

— Postanowiłem zrobić mu przyjemność i nie pytałem nawet o to, co go tam ciągnie.

Zamówiłem łożę i w pół godziny później przysłano mi bilety.

— Te, które ja mam teraz w kieszeni... — usmiechnął się detektyw.

— Tak... — odparł lord i dodał:

— Jakby to było dobrze, gdybyśmy nigdy nie widzieli tego przekłętą lokalu! Ludzkimi krokami kieruje jednak przeznaczenie.

Siedziałem z siostrzeńcem i przyglądałem się przedstawieniu, jeżeli mam być zupełnie szczerzy, z dużym zainteresowaniem. Program był wesoły a siostrzeniec nie odrywał oczu od sceny. Jego zachowanie się było dziwne a czuł wrazenie jakby na coś czekał... Przyszła wreszcie kolej na numer, który zamykał pierwszą część przedstawienia.

Zapowiedziano wyjątkową atrakcję, która w programie była specjalnie podkreślona.

— Proszę, niech pan przeczyta, — rzekł lord, wyciągając z kieszeni papier.

Detektyw rozwinął go i przebiegł oczami:

„Wielka sensacja! Niebywała atrakcja! Mademoiselle Cora Dessalines! Słowik francuski!”

Podczas tego numeru nie wolno było palić na sali.

— A więc chodzi o tego „francuskiego słowika“?

Lord Worwick westchnął głęboko.

— Tak, ale ten słowik przypominał mi raczej wróbla. Była to przeciętna kabaretowa śpiewaczka, która nie bez pewnego wdzięku odśpiewała kilka bardzo frywolnych paryskich kupietów. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że jest to prześliczna kobieta, a urodę jej podkreślała wspaniała koronkowa toaleta. Kiedy ukazała się na scenie, siostrzeniec mój aż krzyknął z wrażenia. Przymknął na chwilę oczy, a potem otworzył je szeroko i nie odrywał od niej ani na chwilę.

— Rozumiem, mylordzie, chce pan abym przeszkodził lordowi Dumbarton w poślubieniu tej śpiewaczki...

— Teraz dopiero może pan pojąć moje oburzenie! Po skończonym numerze siostrzeniec wyciągnął mnie z łoża i szepnął do ucha: „Wracajmy jak najprędzej, gdyż muszę ci coś wyznać. Chodzi o szczęście całego mojego życia i mojej córki Violetty“.

Wróciliśmy do pałacu. Kiedy znaleźliśmy się w moim gabinecie, Harald zamknął drzwi na klucz i oświadczył mi:

— „Etelred, niejednokrotnie radziłeś mi, abym ożenił się. Znalazłem wymarzoną kobietę, a radość i szczęście znów zagoszczą w zamku Dumbarton, gdyż pragnę się ożenić“.

Tknięty złym przeczuciem, zapytałem zakłopotany:

— Któż to jest?

— Znasz ją — odparł Harald — jest to śpiewaczka Cora Dessalines!

Początkowo myślałem, że oszalał... Później starałem się odwieść go od tych zamiarów perswazją:

— Nieszczęsny, czy wiesz co chcesz uczynić? Przecież ten mezalians odsunie cię na zawsze od świata, do którego należysz.

— Wiem o tym, ale, nie zmienię postanowienia.

— Czy możesz sobie wyobrazić, aby kobieta, która bezwstydnie wystawia swoje wdzięki na pokaz tłumom, mogła być odpowiednią matką dla twojej córeczki?

— Nietylko, że wyobrażam to sobie, ale jestem tego pewny!

— A czy przynajmniej ją znasz?

— Nie.

— Widziałeś ją, tak jak i ja, po raz pierwszy w życiu?

— Tak jest.

— Nie przypuszczam, aby jej mierny talent mógł cię aż tak oczarować. A może uroda? Zastanów się! Z tego rodzaju kobietą przyjemnie jest spędzić wieczór przy butelce szampana, ale nie wprawdzie się jej do swego domu.

Harold zbladł, spojrział na mnie z rozpaczą i rzekł cicho, ściskając mi dłoń:

— Eitelred, rozumiem to wszystko równie dobrze jak i ty. Ale mylisz się...

Cora Dessalines, mimo wszystko jest kobietą godną szacunku! Ona mnie uszczęśliwi! Samo niebo mi ją wskazało i nie będę się wahał dłużej... Jutro przedstawiam się i proponuję jej małżeństwo.

— Jeżeli to zrobisz — zawołałem z gniewem — będę uważał naszą przyjaźń za zerwaną!

Harold wyszedł bez słowa i nawet nie pożegnał się.

To wszystko, Mr. Dickson. A teraz proszę pana o radę: — Czy nie powinienem za wszelką cenę przeszkodzić temu małżeństwu? Co się stanie z biednym dzieckiem, jeżeli taka kobieta, jak Cora Dessalines, zostanie lady Dumbarton?

— Uważam, że jest to sprawa bardzo poważna, — rzekł detektyw.

— A więc i pan jest zdania, że postępowanie mojego siostrzeńca nie jest naturalne? Przyznam się, że początkowo miałem zamiar nie wtrącać się do tej całej historii. Ale przez całą noc nie zmrugałem oka i wreszcie postanowiłem zwrócić się do pana o pomoc.

— Bardzo dobrze pan zrobił, mylordzie. Ale czy nie lepiej było zwrócić się do jakiegoś lekarza? Zachodzą bowiem dwie możliwości.

— Mianowicie?

— Albo lord Harald dostał nagłego pomieszczenia zmysłów, albo padł ofiarą jakiejś afery.

— Afery? Proszę mi wybaczyć, Mr. Dickson, ale nie rozumiem tego zupełnie.

— Mówiąc szczerze, mam wrażenie, że ktoś hipnotyzuje pańskiego siostrzeńca... Czy nie wie pan, mylordzie, czy lord Harald jest dobrym medium?

— Mój drogi przyjacielu, jeżeli chcesz wiedzieć, to nie bardzo wierzę w hipnozę...

— Nie będę dyskutował na ten temat, mylordzie. Działanie hipnozy zostało stwierdzone naukowo.

— Ale kto mógłby hipnotyzować Haralda?

— Osoba, której zależy na tym, aby Cora Dessalines została żoną lorda. Może ona sama, a może jakiś jej współnik...

— Ale nigdy nie słyszałem o tym, aby Harald interesował się tą dziedziną.

— To niczego nie dowodzi. To wszystko dzieje się bez udziału medium. Ja sam potrafię usnąć spojrzeniem osobę, która siedzi naprzeciw mnie w przedziale kolejowym i skłonić ją do tego, aby w transie otworzyła okno.

— Ale są fakty, które przeczą pana teorii. Wiem z całą pewnością, że lord Harald żyje w swym zamku zupełnie samotnie, jedynie w towarzystwie swej córki.

— Czy jest pan tego pewny, mylordzie? Czy

nikt do niego nie przyjeżdża? Czy nie ma żadnych przyjaciół?

— Nie komunikuje się z nikim. Ponieważ uważałem za swój obowiązek czuwać nad małą Violetta, posłałem jej w charakterze opiekunki moją zaufaną gospodynię, która stale składa mi dokładne relacje ze wszystkiego, co się dzieje w zamku. Wiem dobrze że lord żyje w swym pałacu jak ślimak w muszli.

W tej chwili do salonu wszedł lokaj i zbliżywszy się do lorda szepnął mu kilka słów na ucho.

Lord Warwick zbladł i rzekł cicho:

— On!

— Lord Harald Dumbarton?

— Tak! Chce ze mną mówić! Prosił Jonna, aby zaanonsował mi jego wizytę.

— Niech pan go przyjmie, mylordzie, ale, ani słowa o tym, że ja tutaj jestem!

— A co pan ma zamiar uczynić, Dickson?

— Ukryję się, ale tak, aby słyszeć całą rozmowę, sam nie będąc widzianym.

Detektyw zniknął za jedwabną portiera, a w chwilę później do salonu wszedł lord Dumbarton.

Głos zza grobu

Lord Harald Dumbarton był podniecony. Zaledwie znalazł się w pokoju natychmiast podbiegł do lorda Warwicka i wyciągnął ku niemu obie ręce:

— Mój kochany wuju, mój drogi przyjacielu, wybacz mi!

— Cóż ci mam wybaczyć, Haraldzie?

— To, że postąpiłem wbrew twojej woli!

— A więc zrealizowałeś swój zamiar? Odszukałeś tę śpiewaczkę z „Picadilly“?

— Tak jest, wuju. Znalazłem ją i zaproponowałem jej małżeństwo.

— Co za głupota! Dlaczegoś to zrobił? Skąd to postanowienie?

— Wskazało mi ją przeznaczenie! Usłyszałem głos z za grobu! A potem, dowód..., Cora Dessalines nosiła „koronki królowej“.

Mówiąc to lord Harald zachwiał się. Wuj podtrzymał go i poprowadził do sofy w pobliżu której za kotarą, ukryty był Dickson.

— Czy chcesz się czego napić? Wyglądasz jakbyś był chory. Może trochę wody kolońskiej?

— Dziękuję ci, przyjacielu. Już mi lepiej. — odparł słabym głosem lord Harald. — Uważam za swój obowiązek wyjaśnić ci moje postępowanie. Myślisz zapewne, że zwariowałem. Ale tak nie jest, mój drogi. Zbiore zaraz myśli, postaram się skupić i wszystko dokładnie wytłumaczę.

— A więc mów. Przyznam ci się, że czekałem na to. Twoje postępowanie jest dla mnie tak samo niezrozumiałe, jak słowa, które wypowiedziałeś przed chwilą!

— Słuchaj zatem, tylko tobie jednemu mogę się zwierzyć ze wszystkich moich tajemnic. Jesteś nie tylko moim wujem, ale jedynym i najlepszym przyjacielem. Więcej nawet... Zastępowałeś ojca mojej ukochanej żonie, której pamięć będzie dla mnie zawsze drogą...

— Jak możesz mówić o Marii w chwili, kiedy masz zamiar poślubić kobietę, która nie jest godna zająć jej miejsca!

Nie chcę źle o niej mówić, ale rozumiesz chyba sam, że osoba tego rodzaju nie może się cieszyć swoją sympatią, nie mówiąc już o tym, że nie przystoi przyszłej lady Dumbarton pokazywać się na scenie!

— Wysłuchaj mnie pierwszej, a później dopiero osadź! Wiesz o tym dobrze, że ubóstwiałem Marię. Żadna kobieta na świecie nie była przez nikogo tak kochana! Miłość nasza była wzajemna. Byliśmy szczęśliwi... Boże! jacy szczęśliwi! Mieliśmy dziecko, spełniły się nasze marzenia i nie nam nie brakowało.

Nagle Maria zachorowała. Z policzków zniknęły rumieńce, a oczy straciły swój blask. Pewnego dnia rzekła do mnie z płaczem:

— Jeżeli podróże i rozrywki nie sprawiają mi już żadnej przyjemności, to zły znak! Zdaje mi się, że niedługo umrę!

To była prawda. Mimo najstaranniejszej opieki gasła w naszych oczach. Któregoś dnia położyła się do łóżka, aby już więcej nie wstać.

Czuając, że zbliża się kres, przywołała mnie do siebie, ujmując za rękę oświadczyła, że pragnie mi coś ważnego powiedzieć. Siłą niemal powstrzymałem ją.

— Chodzi o nasze dziecko — rzekła słabym głosem. — Haraldzie, wkrótce odejdę stąd na zawsze... Nie ludzę się wcale i wiem o tym lepiej, niż ktokolwiek. Trudno mi cię opuścić, gdyż kocham cię bardzo, ale jeszcze trudniej rozstać się z dzieckiem, które potrzebuje matczynej opieki. Wiem dobrze, że będziesz mnie oplakiwał i że twoja rozpacz będzie szczerą. Ale czas, jest najlepszym lekarzem i ukoj twój ból. Przyjdzie przecież dzień, kiedy życie upomni się o swoje prawa...

Sluchałem, z trudem tłumiąc łkanie. Maria westchnęła, po czym ciągnęła:

— Przyjdzie dzień, kiedy pomyślisz o powtórnym małżeństwie.

— Nigdy!... nigdy! — zawołałem, podnosząc rękę do przysięgi.

— Ale Maria przerwała mi:

— Nie przysięgaj! Jesteś tylko człowiekiem! A zresztą pragnę, abyś ożenił się! Sama jednak wskażę ci osobę, która będzie cię godna. Z zaświatów będę czuwać nad tobą i wybiorę ci żonę! Wskażę ci ją tak dokładnie, że nie będziesz wątpił, że znak ten ode mnie pochodzi. Myślę, że Bóg pozwoli mi ukazać się na ziemi dla dokonania tak dobrego dzieła. Przysięgam, że wrócę tutaj i dam ci nieomylną wskazówkę, dzięki której poznasz swoją przyszłą żonę!

To były jej ostatnie słowa. Po kilku minutach oddała już ostatnie tchnienie. Trzymałem ją jeszcze w ramionach i nie chciałem wierzyć w to, że już nie żyje. Zacząłem wzywać pomocy i w najwyższej rozpaczyc pobiegłem do drzwi chcąc sprowadzić lekarza.

Kiedy je otworzyłem wpadłem na Francuzkę M-me Fadinard, damę do towarzystwa mojej biednej żony. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia, jakim mnie obdarzyła. Była to pierwsza osoba, której zakomunikowałem, że lady Dumbarton nie żyje!

Lord Harald przerwał swą opowieść. Musiał się uspokoić i zebrać myśli. Bolesne wspomnienia wytrąciły go bowiem zupełnie z równowagi.

— Mów dalej, mój drogi przyjacielu — odezwał się łagodnie lord Warwick, kładąc rękę na ramieniu siostrzeńca.

— W trzy dni później pochowałem Marię w grobowcu rodzinnym. Przez trzy dni i trzy noce, czuwałem przy zwłokach. Kiedy miałem się już ostatecznie rozstać z jej śmiertelnymi szczątkami, przysięgnąłem sobie o przyrzeczeniu, które dałem jej któ-

regoś dnia. Maria prosiła mnie wówczas, abym jej wyprawił piękny pogrzeb i pochował ją w jej najpiękniejszej sukni.

— Chcę być pochowana jak królowa — rzekła.

Przywołałem M-me Fadinard i zapytałem, który strój nieboszczka najwięcej lubiła.

— Koronkową toaletę królowej! — odparła. — Muszę ci wyjaśnić historię tych drogocennych koronek. Przypomnę ci, że za czasów Marii Stuart, nieśczęśliwej królowej Szkocji, która zginęła na szafocie, lordowie Dumbarton byli gorliwymi katolikami i wiernymi jej stronnikami. Jeden z nich był oddanym przyjacielem nieśczęśliwej królowej i towarzyszył jej razem ze swoją żoną podczas ostatniej nocy przed egzekucją.

Kiedy nadszedł ranek i oznajmiono królowej, że kat już czeka, zwróciła się ona do lady Dumbarton:

— Nie wiem, jak wyrazić mam swoją wdzięczność i wynagrodzić twoje przywiązanie. Dam ci w podarunku koronkową suknię, którą bardzo lubiłam. Niech ci ona przypomni tę, która tak wcześniej musiała pożegnać się ze światem!

Lady Dumbarton strzegła koronek jak najdroższego skarbu. Nie nosiła ich wcale i umieściła je w specjalnie na ten cel zrobionej serwantce.

Wspaniała suknia przechowywana była w ten sposób przez długie lata i przechodziła z pokolenia w pokolenie rodu Dumbarton.

Pewnego razu jednak jedna z pięknych lady Dumbarton włożyła ją na siebie, aby na balu dworskim przyćmić swym strojem wszystkie inne kobiety. Została ona królową balu. Podziwiano ją i zazdrościono jej bezcennej toalety. Od tego czasu również inne kobiety z naszej rodziny przywdziewały niekiedy suknię Marii Stuart.

Ustalili się wreszcie zwyczaj, że każda lady Dumbarton szła w tym stroju do ołtarza w dzień swego ślubu. Maria również zastosowała się do starej tradycji. Od tego czasu suknia pozostała nietknięta w szklanej serwantce.

Ale Maria okazywała zawsze wielkie upodobanie do tej sukni i M-me Fadinard wyznała mi, że żadnej innej tak nie lubiła, jak tą.

— Postanowiłem więc nie liczyć się z tradycją i zadecydowałem, że koronki królowej będą towarzyszyły Marii do grobu.

Rozkazałem ubrać ją w tę bezcenną toaletę. Stało się jak chciałem i ucałowałem Marię po raz ostatni...

Minęły lata. Odsunąłem się od ludzi. Pozostała mi tylko jedyna ukochana córeczka i twoja przyjaźń. Mówiłeś mi niejednokrotnie, abym ożenił się i dał opiekunkę córce. Myślałem o tym wszystkim i wówczas przypomniały mi się słowa, którymi pożegnała mnie Maria: „Dam ci nieomylny znak!”

Czekałem... Często nocą, nie mogąc spać, zamykałem się w gabinecie i rozmyślałem. Zacząłem wątpić, aby dusza ludzka mogła po śmierci mieć z nami kontakt. Zainteresowałem się spirytyzmem i przeczytałem wiele dzieł na ten temat. Szukałem, eksperymentowałem, ale nie wierzyłem... Aż przyszedł dzień, kiedy otworzyły mi się oczy!

Harald zamilkł, utkwivszy palające spojrzenie w twarz przyjaciela. Później przysunął się do lorda. Rozejrzał się dokoła i, jakby oławiał się, że będzie podsłuchany, szepnął mu cicho:

— Widziałem ją!...

— Kogo? — zapytał lord Warrick nie mogąc opanować drżenia

— Ja... Marię... moją żonę! Od tego czasu m-
nele siedem nocy. Była piękna i blada, jak w dzień
swojej śmierci. Nosila... koronkową suknię królo-
wej. Tydzień temu siedziałem w wielkim salonie,
gdzie ustawiono katafalk przed pogrzebem. Zegar
na wieży wybił północ. Jednocześnie z ostatnim
uderzeniem usłyszałem jakiś szmer za moimi plecami.
Odwróciłem się i... Zadrżałem cały, krew zmro-
ziła mi się w żyłach ujrzałem ją... To nie był sen...
Znajdowała się w odległości zaledwie dziesięciu kro-
ków ode mnie. Kiedy zerwałem się z okrzykiem:
„Mario! Mario! Nareszcie wróciłaś do mnie!... Je-
steś znów ze mną!“ — podniosła wolno rękę.

Nie wyrzekłem ani słowa więcej i padłem na
kolana.

— Przybyłam, aby dotrzymać obietnicy — rze-
kla cicho. — Odpowiednia godzina wybiła. Trzeba
dać matkę Violecii! Jedź do Londynu za siedem dni
i idź do kabaretu „Picadilly“. Przeznaczyłam ci na
towarzyszkę życia i matkę Violetty kobietę, którą uj-
rzysz w koronkowej toalecie królowej!

Nagle rozległ się grzmot, światło zgasło a cała
salę wypełnił mrok. Zachwiałem się i padłem bez
zmysłów na ziemię. Kiedy odzyskałem przytom-
ność, myślałem, że to był tylko sen.

Ale następnej nocy znów znalazłem się w salo-
nie. Widzenie powtórzyło się.

Tym razem trwało krótko. Maria szepnęła
tylko:

— Nie zapomnij! Za sześć dni!

Trzeciego wieczora znów powróciła.

— Twoim przeznaczeniem jest kobieta, którą
ujrzesz w koronkach królowej!

Wtedy to właśnie wyjechałem do Londynu i o-
baj poszliśmy do „Picadilly“. Tam zaś ujrzałem Co-
rę Dessalines. Nosila koronkową toaletę, tę samą,
w której kazałem pogrzebać Marię! Teraz już wiesz
wszystko, Etelredzie!

Rozumiesz teraz, że musiałem oświadczyć się
śpiewaczce i poprosić ją, aby zechciała udać się ze
mną do zamku Dumbarton i poznać Violetkę. Aż do
dnia naszego ślubu, który nastąpi w najbliższej przy-
szłości, zamieszka ona u mnie, w pałacu. A teraz o-
sądź mnie, jeżeli to potrafisz.

— Czy Cora Desalines zgodziła się na twoją
propozycję? — zapytał lord Warwick.

— Zgodziła się. Jest wdową i nie ma żadnych
krewnych. To szczęście dla niej, że zostanie lady
Dumbarton. A teraz żegnaj, mój drogi, odjeżdżamy
stąd za godzinę.

— Haraldzie! — zawołał lord Warwick. — Za-
klinam cię, zastanów się raz jeszcze nad tym, co
robisz!

— To wielka szkoda, wuju, że mnie nie roz-
umiesz. Ja w każdym razie zachowałem się jak przy-
jacieł, mówiąc ci całą prawdę. Wobec tego żegnaj
i może się już nie zobaczymy!

Nim lord zdążył przeszkodzić, Harold ujął jego
rękę i pocałował, po czym zniknął za drzwiami.

Harry Dickson wysunął się ze swej kryjówki

— Czy słyszał pan wszystko, Mr. Dickson?

— Tak.

— I co pan o tym sądzi?

— Że będę miał dużo pracy. Mamy do czynienia
z bardzo zręcznymi przestępcami, którzy nie cofną
się przed niczym i nie wypuszczą łatwo zdobyczy
ze swoich rąk. Ale i Harry Dickson nie zaniedba nic,
aby pokrzyżować im plany.

Kolekcjoner koronek

Wyspa Wight, na której wznosi się stary za-
mek Dumbarton, oddzielona jest od Wielkiej Bry-
tanii wąskim przesmykiem Silent i Spidhead.

Z okien pałacowych z jednej strony rozpo-
ściera się wspaniały widok na morze, o z drugiej
na wielki, stary dębowy las, który pokrywał nie-
gdyś całą wyspę.

Na brzegu wznosi się cały szereg małych ry-
backich domków, które stanowią małą wioskę,
należącą do majątku Dumbartonów.

Przed jedynym skromnym hotelem zatrzymało
się dwóch podróżnych. Jednym z nich był męż-
czyzna o arystokratycznym wyglądzie, a drugim
jego służący.

— Jestem księciem Lowen z Brukseli — oznaj-
mił gospodarzowi, który pospieszył na jego spot-
kanie. — Chciałbym pozostać przez kilka dni na
wyspie. Czy może nam pan wynająć odpowiednie
mieszkanie?

— Oczywiście, ekscelencjo, jeżeli się pan
zadowolony moim skromnym domem...

— Baptysto! — zwrócił się książę do służą-
cego — przynieś mi tu natychmiast mój bagaż
i... bądź gotów do odejścia.

Służący, który był młodym człowiekiem o in-
teligentnej twarzy, sklonił się nisko i odszedł.

Właściciel hotelu wskazał gościowi swój naj-
wspanialszy apartament, a obok drugi znacznie
skromniejszy dla służącego.

Kiedy Baptysta wrócił, książę zwrócił się
doń:

— Weź moją kartę i zanieś ją do pałacu lor-
da Dumbarton. Ten pan wskaże ci drogę.

— Chce pan pójść do zamku? — zapytał go-
spodarz służącego kiedy schodzili razem ze scho-
dów. — To niedaleko stąd, zaledwie pięć minut.
Minie pan tylko ten dębowy park, i zaraz znajdzie
się pan przed pałacem. Książę jest zapewne do-
brym znajomym lorda?

— Nie wiem... Zdaje mi się, że chce go do-
piero poznać. Mam właśnie zaanonsować jego wi-
zytę.

— Będzie miał pan szczęście jeżeli pana
wpuszczą. Lord nie przyjmuje nikogo. Może zrobi
teraz wyjątek dla księcia.

W dwie minuty później służący zniknął w dę-
bowym lesie. Po kwadransie wrócił do hotelu.

— Możesz mówić głośniej — rzekł książę
zamykając drzwi za swoim sługą. — Sprawdziłem
ściany... są bardzo grube. A więc oddałeś list
i kartę?

— Tak mistrzu, lord przeczytał go zdziwio-
ny i jednocześnie zakłopotany. Czynił wrażenie,
jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Po krótkim
jednak namyśle rzekł:

— Bardzo to wielki zaszczyt dla mnie, jeśli
będę mógł przyjąć u siebie księcia.

— Wobec tego chodźmy. Pójdiesz ze mną,
Tomie. Podczas, gdy ja będę rozmawiał z lordem,
ty spróbuj nawiązać kontakt z domownikami.
To nam może przynieść korzyść.

Po kilku chwilach obaj opuścili hotel.

Stary lokaj wiedział zapewne, że jego pan
oczekuje gościa. Poprowadził go bowiem od razu
po przez wielkie marmurowe schody do salonu,
położonego na pierwszym piętrze.

Książę Lowen nie czekał długo. Po chwili
otworzyły się drzwi i do salonu wszedł lord Ha-
rald Dumbarton.

— Witam księcia! — zawołał, kłaniając się uprzejmie. — Proszę mi wybaczyć moje dziwienie, ale nie oczekiwałem na tym pustkowiu żadnej wizyty.

— Pozwoli pan, że się przedstawię: książe Maksymilian Lowen. Pochodzę z Belgii i mieszkam stale w Brukseli. Zrozumie pan natychmiast cel moich odwiedzin, jeżeli powiem, że jestem namiętnym kolekcjonerem starych koronek.

Lord Harald cofnął się bezwiednie o krok i wskazał gościowi fotel.

— Proszę wyjaśnić mi łaskawie jaki związek mogą mieć stare koronki z pańską wizytą na zamku?

— Jakto? Czy nie jest pan właścicielem najpiękniejszych i najcenniejszych koronek na świecie? Jestem tylko amatorem, ale mimo to wiem, że jest pan w posiadaniu bezcennej koronkowej toalety nieszczęśliwej królowej Marii Stuart.

Lord Harald poruszał się nerwowo na krześle i dawał do zrozumienia że rozmowa jest dla niego przykra i chciałby ją przerwać.

Ale książe Lowen z największym spokojem mówił dalej:

— Zawsze marzyłem o tym, aby choć raz ujrzeć na własne oczy ten drogocenny skarb. Nie śmiałybym nawet prosić, by mi pan je sprzedał. Z pewnością nie oddałby ich pan za żadną cenę. Sądzę jednak, że zechce pan być na tyle uprzejmy i pozwolić mi obejrzeć je z bliska.

— Bardzo żałuję, książe, że nie mogę spełnić pana prośby... Jest to zupełnie niemożliwe, ponieważ koronki królowej znajdują się w miejscu, do którego nie mogę pana zaprowadzić.

Ponieważ książe Lowen nie spuszczał z niego pytającego spojrzenia, lord dodał zakłopotany:

— Zmusza mnie pan do poruszenia bardzo bolesnego dla mnie tematu. Posiadałem rzeczywiście koronkową suknię, należąca kiedyś do Marii Stuart... Moja zmarła żona uwielbiała tę toaletę. Kiedy bezlitosna śmierć wydarła mi ją na zawsze, kazałem ją pochować w tym królewskim stroju. Teraz rozumie pan, książe, że mimo najlepszych chęci nie mogę zaspokoić pana ciekawości.

Tym razem książe Lowen wydawał się mocno zakłopotany. Przez chwilę szarpał nerwowo swoje jasne wasy, poczym rzekł:

— Był pan bardzo szczery, mylordzie, przeto i ja też sobie na to pozwolę. Wiedziałem o tym wszystkim, co pan powiedział. Nie jest to tajemnicą dla nikogo, kto interesuje się koronkami. To, co pan uczynił, lordzie, jest zupełnie zrozumiałe. Przecież pan tak bardzo kochał swoją żonę. Ale zrobiłem dziwne odkrycie...

Lord Harald nie mógł odęprzeć badawczego spojrzenia swego gościa i przymknął oczy.

— Możliwe, ciągnął dalej książe — że bezcenna toaleta Marii Stuart nie pozostała w trumnie lady Dumbarton, gdyż... widziano ją ostatnio.

Lord Harald raptownie zbladł.

— Widziano ją?... — zapytał z podnieceniem. — Ależ to niemożliwe... To napewno omyłka. Musi to być jakaś imitacja, nędzne naśladownictwo oryginału.

— To nie jest imitacja, mylordzie — odpowiedział książe z naciskiem. Sam widziałem tę suknię... jest prawdziwa! I właśnie myśl, że te bezcenne koronki mogły się dostać w niegodne ręce, skłoniły mnie do wyjazdu z Brukseli do

Wight. Chciałem się dowiedzieć, czy te relikwie zostały wyciągnięte na widok publiczny za pana zgodą, mylordzie, czy też popełniono niesłychane przestępstwo!

— Proszę mi więcej nie mówić, książe, — przerwał lord Harald. Toaleta przeszła w inne ręce za moją zgodą, a poza tym — tylko ja mam prawo sądzić, czy te ręce są godne, czy nie... Proszę więc nie robić żadnych uwag na ten temat.

Książe Lowen podniósł się z krzesła.

— Dziękuję bardzo, mylordzie, za wskazówki, których zechciał mi pan udzielić. Przepraszam bardzo, że zająłem mu jego cenny czas. Pozwoli pan, że go pożegniam.

— Do widzenia, książe.

Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane mroźnym tonem.

Książe opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi. W tej samej chwili przeszła obok niego niezwykle piękna kobieta. Skłonił się jej z szacunkiem i otrzymał w odpowiedzi lekkie skinienie kształtnej główki. Schodząc ze schodów książe mówił do siebie:

— Ten nieszczęśliwiec odparł mój atak, nie wiedząc, że sam sobie szkodzi. Kobieta zaś, która mnie minęła, to zapewne Cora Dessalines, śpiewaczka z kabaretu „Picadilly“. Czuje się w zamku, jak u siebie. Trzeba będzie zwrócić na nią uwagę! Muszę się dowiedzieć, co się stało z koronkami królowej i czy rzeczywiście... okradziono grób lady Marii.

Książe wyszedł ze starego zamku razem ze swoim służącym. Kiedy znaleźli się w lesie, poza strefą widzenia, książe zniżył głos:

— Chodź tu bliżej, Tomie, mam nadzieję, że nie straciłeś czasu. Dowiedziałeś się czego od służby?

Ten stary lokaj ma niestety mocno zaciśnięte zęby. Z trudem wydobyłem od niego kilka wiadomości. Opowiedział mi, że Cora Dessalines mieszka w pałacu niedawno i jest nielubiana przez służbę ze względu na swą arogancję. Podobno panna Violetta żywi do niej nieopisaną antypatię, co strasznie martwi lorda Haraldą.

— Ta mała ma zdrowy instynkt, — zauważył Harry Dickson.

— A nie zawarłeś innych jeszcze znajomości?

— Owszem, mistrzu. W pewnej chwili, kiedy zadzwoniono z górnego piętra zostałem przez chwilę sam. Nadeszła wówczas prześliczna dziewczyna. Jak się okazało, jest to nowa pokojówka Emma.

— Pokojówki są zazwyczaj bardzo gadatliwe. Cóż ci powiedziała?

— Oświadczyłem jej, że nie wyobrażałem sobie, iż znajdę na wyspie tak urocze zjawisko. Z zadowolenia aż pokraśniała na buzi.

Zapytałem, czy się jej podoba na zamku.

— Jak się może czuć młoda dziewczyna w takim otoczeniu — odparła. — Są tu tylko dwaj mężczyźni: lord, który ma stale czy zaczerwienione od płaczu i stary lokaj, z którego nawet siłą niepodobna wydobyć słowa.

— A nowa pani?

— To sprytna osóbką ta Cora Dessalines. Teraz jeszcze mocno się maskuje, zobaczymy jednak, co będzie, jak zostanie panią tego domu!

— A czy lord kocha tę piękną osobę?

— Nie wiem... Nigdy nie widziałam, aby całowali się.

— Nie rozumiem... Dla mnie to zupełnie nieładnej dziewczyny i nie mieć ochoty na całusa!

Mówiąc to objął ją mocno i ze względu na możliwe... aby znajdować się w obecności młodej, dobro naszej sprawy gorąco ucałowałem.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się detektyw. — Musiało ci to chyba przyjść bez trudności. Czy ten całus miał moc zaklęcia „Sezamie otwórz się“?

— Oczywiście. Po chwili bowiem dowiedziałem się jeszcze innych ciekawych rzeczy. Mała opowiadała mi w zaufaniu, że garderoba śpiewaczki znajdowała się w strasznym stanie i że lord kazał natychmiast sprowadzić z Londynu najwytworniejsze toalety. Ofiarował jej także przepiękne klejnoty. Ale mimo to, Emma uważa, że śpiewaczka nie kocha lorda. To bardzo ciekawe, mistrzu, gdyż pokojówka dowodzi, że... Cora ma w Londynie przyjaciela. Podobno dwa razy nocą wychodziła do parku na schadzki.

— Czy pokojówka ją śledziła?

— Nie. Ale twierdzi że Cora Dessalines potajemnie nocą wychodziła z domu, strzegąc się, aby nikt tego nie zauważył.

— Jesteś nadzwyczajny, Tomie, dziękuję ci... Ale uwaga, chłopcze!... Ludzie...

Na pustej drodze ukazały się dwie sylwetki, jakiejś starej kobiety i młodego chłopaka, lat około dwudziestu.

Jedno spojrzenie detektywa wystarczyło, aby osądzić, że jest to wybitnie antypatyczna figura, nacechowana najgorszymi skłonnościami.

Kiedy Harry Dickson mijał te dwie osoby, ukłonił im się grzecznie. Odpowiedzieli również ukłonem, poczym skręcili w boczną drogę.

— To będą, zdaje się, nasi klienci — zauważył detektyw. Nie omyliłem się, to jest ciemna sprawa i sądzę, że tej nocy będziemy mieli dużo pracy.

Profanacja

W głębi parku znajdował się wspaniały grobowiec rodu Dumbartonów, cały z kamienia i marmuru.

Noc była ciemna. Wielkie chmury całkowicie pokryły gwiazdy, a zdawało się slychać było groźny pomruk fal, uderzających o skaliste wybrzeże.

Drogą, wiedącą z wioski do pałacu Dumbartonów spieszyli dwaj ludzie nędznie odziani w podartych butach i zniszczonych czapkach.

W pewnej chwili jeden z nich odezwał się:

— Czy jesteś pewny, Tomie, że idziemy we właściwym kierunku? Jest bowiem tak ciemno, że nic nie widzę o trzy kroki...

— Tak jest, mistrzu. Obejrzałem sobie w ciągu dnia dokładnie całą okolicę. To jest najlepsza i najkrótsza droga. Czy widzisz ten stary dąb rozdarty uderzeniem pioruna? Kiedy go minimy, znajdziemy się w pobliżu grobowca.

— Masz rację, Tomie, widzę go, jak na dłoni! — zawołał Harry Dickson.

W kilka chwil potem, detektyw i jego nierozłączny uczeń znaleźli się przed wejściem do grobowca.

— Co za solidny budynek, widać, że zbudowany został z myślą o wieczności. Przodkowie szlachetnego rodu powinni tu zażywać niczym nie zamąconego spokoju. Nie rozumiem w jaki sposób

świętokradcy mogli się tu dostać...

— A my? — zapytał Tom Wills. — Czy i my nie naruszamy spokoju zmarłych?

— Tak, mój drogi. Ale są złoczyńcy i złoczyńcy... Bierzmy się do roboty! Przygotuj na rzędzia, a ja obejrzę sobie zamek.

Przez kilka chwil detektyw badał uważnie konstrukcję zatrasku, poczym rzucił:

— Tomie, podaj mi wytrych Nr. 17.

Po kilku minutach wyteżonej pracy, stare drzwi ustąpiły i obaj przyjaciele weszli do grobowca.

We wnętrzu ujrzeni drzwi z grubych dębowych desek, a potem schody, wiodące do piwnicy.

— Ciekaw jestem, czy i to wejście jest zamknięte — rzekł detektyw. — W takim razie będę miał jeszcze trochę roboty.

Odsuń się, mój dogi, mam wrażenie, że sam sobie dam radę. Popatrz ustępują! Tędy dostaniemy się do podziemi, gdzie Dumbartowie śpią wiecznym snem.

Mówiąc to, Harry Dickson począł zstępować ze stopni. Tom Wills podążał za nim, nie mogąc opanować dziwnego niepokoju na widok poustawianych w szereg trumien.

— Boże, jak tu strasznie!.. — szepnął.

— Drogi chłopcze powinieneś mieć bardziej zahartowane nerwy. Śmierć nikogo nie ominie... Najlepiej jest oswoić się z tą myślą. Poszukajmy trumny lady Marii. To napewno ta która pokryta jest wędnącymi już kwiatami.

— Tomie, pomóż mi odsunąć te stosy kwiatów... musimy otworzyć wieko.

Detektyw wydobył śrubociąg i zaczął manewrować przy zawiasach.

— Solidna stal — zwrócił się do towarzysza. — Jeżeli włamywacze otworzyli trumnę i zamknęli ją tak starannie, to dowód, że pracowali w spokoju. Muszę się dowiedzieć całej prawdy!... Pomóż mi, Tom, ułożymy wieko na ziemi.

Detektyw nachylił się nad trumną, chcąc wreszcie stwierdzić słuszność swoich podejrzeń i.. krzyknął ze zdumienia.

Lady Maria Dumbarton spoczywała bowiem na poduszkach z białego jedwabiu przystrojona w kosztowną toaletę Marii Stuart.

Harry Dickson, przyglądając się doczesnym resztkom pięknej kobiety, zrozumiał doskonale rozpacz i ból lorda Dumbartona.

— Zwłoki Marii prawdopodobnie balsamowane, zachowały ślady jej niezwyklej urody.

Detektyw teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego co musiało się dziać w duszy nieszczęsnego człowieka, który nagle utracił tę nade wszystko ukochaną kobietę.

Dickson zbliżył się do trumny i zapaliwszy elektryczną latarkę, rzucił snop światła na cudowne koronki.

— Zdaje się, że omyliliśmy się, mistrzu... — szepnął Tom Wills. — Mamy teraz niezbity dowód, że ani Cora Dessalines, ani żaden z jej współników nie ukradł tych koronek.

— Tak myślisz, mój chłopcze? — zapytał z zagadkowym uśmiechem Dickson. Hm, o ile się orientuję, lady Maria nigdy nie używała szminki. Spójrz na przodzie sukni znajduje się mała, czerwona plamka. Przekonamy się zaraz czy nie zostawia śladów...

Harry Dickson dotknął palcem zafarbowane-

go miejsca i... podniósł go pod światło, przyglądając się uważnie. Koniec palca był czerwony!

— Teraz jest dla mnie zupełnie pewne, że Cora Dessalines nosiła tę toaletę, tego dnia, kiedy ją lord Dumbarton ujrzał w kabarecie „Picadilly“.

A teraz wytłumaczę ci, dlaczego tak myślę: Otóż Cora Dessalines musiała być uszmkowana! Jest to zupełnie zrozumiałe. Każda artystka musi się malować, aby nie wyglądać na scenie bezbarwnie. I przez niezręczność poplamiała suknię.

A teraz, mój mały, musimy zdwoić ostrożność. Nasi przeciwnicy zapewne już wiedzą o naszym pobycie na wyspie. Jeżeli znają moje nazwisko, będą tym bardziej czujni. Cora Dessalines napewno podsłuchiwała dziś rano moją rozmowę z lordem. Kiedy odchodziłem, znalazłem ją tuż obok drzwi. Najlepszym dowodem tego, że wiedzą o nas, jest fakt, że zwrócili zmarłej jej koronki.

Chcieli nas oszukać, Tomie... Ale... co się stało?

— ... Boże, pochowano nas za życia!.

Ostatnim słowem detektywa towarzyszył głuchy huk. To dębowe drzwi zamknęły się nad ich głowami. Po chwili rozległy się uderzenia młota, które były jakgdyby straszliwym potwierdzeniem słów Harry Dicksona.

— Słyszysz, Tomie, zabijają wieko naszej trumny!

Zywcem pogrzebani

— Godzina jedenasta minut dziesięć — rzekł Harry Dickson, spoglądając na zegarek w świetle latarki. Siedzimy tu już przeszło dwadzieścia cztery godziny!.

— I nie mamy żadnej nadziei wydostania się stąd, — dodał Tom, spoglądając na mistrza zrozpaczonym wzrokiem.

— I mnie się tak zdaje... Przyjdzie nam umrzeć z głodu w tej piwnicy. Nasze walki z tymi dębowymi drzwiami skończyły się kompletnym niepowodzeniem. Mają moc stali!

— Ach ten przeklęty głód! Żołądek mój dopomina się gwałtownie o swoje prawa. Cała wyobraźnia zajęta jest wspomnieniami o wybornych potrawach naszej gospodyni, Mrs. Crown. To jeszcze bardziej zwiększa cierpienia!

— A mnie więcej dokuczają pragnienie. Na szczęście w fajce jest dosyć tytoniu! Mogę pociągnąć ją od czasu do czasu. To daje niewiele, ale przynajmniej oszukuję żołądek.

Mówiąc to, Harry Dickson z rozkoszą wciągnął do płuc kłęb wonnego dymu. Przez długi czas opierał się tej przyjemności ze względu na szacunek dla zmarłych. Ale powoli... głód i pragnienie zwiększały jego tęsknotę za fajką i — ustąpił.

Po jakimś czasie wnętrze podziemia wypełnił niebieskawy dym. Harry Dickson palił i palił bez przerwy.

Nagle detektyw gwałtownie podniósł się. Oczy iskrzyły mu się z nieukrywaną radością.

— Będzie dobrze, mój chłopcze! — zawołał.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — zapytał Tom drżąc z podniecenia.

— Przrzekam ci, że za pół godziny opuścimy ten grobowiec! To dziwne, że nie pomyślałem o tym wcześniej! Ale często tak bywa, że najtrudniej jest znaleźć najprostsze rozwiązanie.

Harry Dickson wydobył z kieszeni rewolwer.

— Na Boga, mistrzu, co chcesz uczynić?! — krzyknął Tom, zeskakując z trumny, na której siedział.. — Nie myślisz chyba o samobójstwie?

— Harry Dickson miałby popełnić samobójstwo?! Nie, mój drogi, mylisz się.. To byłaby już najgorsza ostateczność.

— Daj mi cały zapas naboju, które masz przy sobie. Ile ich jest?... Razem z moimi 24! A teraz weź świder, który na szczęście zabraliśmy ze sobą i wybij 24 otwory w dębowych drzwiach. Pospiesz się, a tymczasem ja zajmę się resztą.

Detektyw usiadł na jednej z trumien i zaczął wydobywać proch z naboju, poczem zsywał go na papier.

— Tomie! — krzyknął do przyjaciela, a nie zapomnij o trzech otworach w pobliżu zawiasów.

Młody człowiek pracował gorliwie i przez dłuższą chwilę słychać było tylko zgrzyt narzędzi.

Harry Dickson wyciągnął z kieszeni długi sznurek i zbliżył się do małej oliwnej lampki, która zwiisała z pułapu. Ku swej wielkiej radości znalazł ją na pół napelnioną i zanurzył w tłuszczu koniec sznurka.

— Otwory są zrobione — oznajmił Tom.

— Doskonale, dalej do roboty! Musimy uważać, aby nie utracić ani szczypty naszego cennego prochu.

Detektyw wszedł na stopnie schodów i umieścił w każdym otworze pewną ilość prochu. Potem powiększył otwór w środku drzwi, umieścił tu najwięcej prochu i wprowadził tam naoliwiony koniec sznurka.

— Wszystko gotowe, chłopcze! Umykajmy teraz w najdalszy kąt piwnicy! I pomódlmy się na intencję pomyślnego zakończenia naszej przygody! Dickson podszedł do zwisającego sznurka z płonąca zapalką.

Podziemiami wstrząsnął ogłuszający huk a ze wszystkich stron posypały się odpryski drzewa i stali.

— Jesteśmy wolni! — zawołał uradowany detektyw. — Nareszcie wydostaliśmy się z pułapki! Teraz wytrych Nr. 17 robi swoje i za chwilę wydostaniemy się na zewnątrz. Chodź za mną, Tomie... nie ma już powodu do obawy!

— Wolni! Wolni! — wołał Tom, szalejąc wprost z radości.

W dwie minuty później, obaj przyjaciele wydostali się z grobowca. Wdychali z rozkoszą czyste i ciepłe powietrze nocy letniej. Z radością patrzyli na księżyc i tysiące gwiazd, lśniących na niebie.

— Ach, jak cudownie — szeptał Harry Dickson. — Nie masz nic lepszego nad świeże powietrze! Zaraz mnie postawiło na nogi.

— Czy wracamy do domu? — zapytał Tom, który nie potrafił zachwycać się na czczo cudami przyrody.

— Oczywiście i to tak szybko, jak tylko się da! Sam jestem diabelnie głodny!

Obaj przyspieszili kroku.

Nagle Harry Dickson zatrzymał Toma kładąc mu rękę na ramieniu.

— Cicho... żadnego ruchu... — szepnął mu do ucha

— Tam obok starego dębu.. czy widzisz? Na ziemi, Tom!

Leżąc na mchu, ostrożnie podniósł głowę i spojrział przed siebie. O pień dębu stała oparta osoba,

którą poznał natychmiast. Była to kobieta o siwych włosach, którą widział pierwszego dnia razem z młodym chłopcem.

— Ta kobieta musi tutaj czekać na kogoś — rzekł detektyw. — Gdyby była młoda, pomyślałbym, że przyszła tu na miłosną schadzkę. Ale na co ona czeka?

Po kilku chwilach z za drzew wynurzyła się elegancka, szczupła sylwetka.

— Cora Dessalines! — szepnął cicho detektyw. Trzeba przyznać że ta Francuska potrafiłaby uwieść nawet czarta...

Była ona rzeczywiście czarująca. Jej twarz jasna i niewinna, otoczona koroną blond loków, emanowała z siebie nieodparty wdzięk.

— Strasznie długo kazałaś mi czekać na siebie, Coro! — rzekła z niezadowoleniem starsza z kobiet. — Niezbyt grzecznie postępujesz z własną matką. Czy sądzisz, że już jesteś lady Dumbarton?

Cora wstrząsnęła ramionami.

Bardzo cię przepraszam, mamó, ale to nie moja wina... Sądzisz, że to tak łatwo wydostać się z zamku bez zwrócenia uwagi.

— A jakie są twoje stosunki z lordem?

Cora skrzywiła się z niechęcią.

— Mówię ci, mamó, że nigdy dotąd nie spotkałam podobnego mężczyzny. On jest chyba z drzewa, a w żyłach ma wodę zamiast krwi.

— Jesteś pewnie zbyt opanowana i skromna wobec niego. Musisz go zmusić do tego, aby przyrzekł ci się uważnie. Przecież potrafisz mężczyzn doprowadzić do szaleństwa.

— Rozumiem cię, mamó. Prowokuje lorda, ale jak dotychczas bez żadnego rezultatu. Traktuje mnie on z największym szacunkiem, przyrzeka, że zrobi wszystko, aby przyspieszyć nasz ślub, ale zawsze jest smutny i jakby nieobecny. Wyprowadza mnie to z równowagi i zanudza na śmierć.

— To zapewne dlatego, że jest ktoś, co was rozdziela!

— Co też mówisz, mamó? Kto może nas teraz dzielić, skoro lord jest święcie przekonany, że poślubia mnie na rozkaz swej zmarłej żony! Że samo niebo mu mnie zesłało!

— Jaka ty jesteś ograniczona! Lord Harald kocha szalenie swą córkę, małą Violettę. Na niej koncentruje całą swoją miłość. Dopiero wtedy, kiedy się od niej uwolni, lord będzie należał do ciebie!

Słowa te omal nie poniosły Toma. Chciał wstać i rzucić się na starą wiedźmę.

Ale Harry Dickson uspokoił go, siłą zatrzymując na miejscu.

— A więc radzisz mi, mamó, abym usunęła Violettę — szepnęła córka. — A jakiego zdania jest Eugene?

— Twój brat myśli tak samo, jak ja. Opracowaliśmy nawet plan działania. Zaprosisz któregoś dnia Violettę na przechadzkę i wtedy...

— Cicho, ktoś idzie...

— Nie, zdaje ci się, moje dziecko... Może wieiórka przemknęła po drzewie... Ale chodźmy już stąd, po drodze opowiem ci resztę. Nie masz pojęcia, jak bardzo niecierpliwiliśmy się, chcąc cię nareszcie ujrzeć jako lady Dumbarton i panią tego pałacu.

— To nieroztropnie. A jeżeli lord cię pozna...

— Mam wrażenie, że to niemożliwe. Bardzo zmieniłam się od tego czasu, kiedy lord Harald widywał mnie codziennie. Nie domyśli się w żaden sposób, że matka jego żony była kiedyś... Ale nie myślimy o przeszłości!

Obie kobiety znikły w mrokach nocy.

Harry Dickson podniósł się z ziemi.

Na twarzy jego malowało się głębokie oburzenie.

— Potwory — szepnął. — Nie cofną się nawet przed zamordowaniem biednego dziecka, jeżeli im będzie przeszkadzało. Biedny lord nie wie jaką zmię przygarnął do siebie. Nie zdaje sobie sprawy, że jest tylko pionkiem w rękach tej bandy.

— Ale dowie się o tym wkrótce! Teraz, mistrzu, uwięzisz chyba tę bandę!

— Byłoby to wielką głupotą z naszej strony. Na razie tylko my wiemy o tym, że Cora Dessalines i jej czcigodna matka są zbrodniarkami, które myślą jedynie o zawładnięciu wielkim majątkiem naiwnego lorda.

Mówiąc szczerze, sądzę, że nie pożyłby on długo, gdyby poślubił tę śpiewaczkę. Ale na to wszystko musimy mieć dowody! Dowody, rozumiesz?

Poza tym lord Harald musi się dowiedzieć, że padł ofiarą mistyfikacji. Aby odzyskać wreszcie równowagę duchową, musi zrozumieć, że widzenia, których był świadkiem, były tylko zręcznie ukartowaną grą! Chodźmy, Tom! Na razie nie grozi ani lordowi, ani Violecce żadne niebezpieczeństwo... Nam zaś należy się zasłużony odpoczynek.

Obaj przyjaciele szybkim krokiem przemierzili park, kierując się w stronę hotelu.

Między córką a narzeczoną

Następnego ranka Cora Dessalines towarzyszyła lordowi przy śniadaniu.

— Powiedz mi, Haraldzie, jakie masz plany na popołudnie? — zapytała Cora, przerywając milczenie. — Czy dotrzymasz mi towarzystwa, czy też znów zajmiesz się, tak jak wczoraj, swoimi interesami?

— Myślę, moja droga — odparł lord z roz-targnieniem, — że pogoda jest tak piękna, że powinnaś pójść najlepiej na spacer do parku.

— Do parku? O nie, mam znacznie ciekawsze projekty... Posłuchaj, Haraldzie, zawsze mi się wydaje, że ilekroć jesteśmy sami, stale myślisz o czymś innym. Czy nie rozumiesz, że mnie to boli?

— Jak możesz tak myśleć, Coro? Znasz przecież uczucia, które do ciebie żywię.

— No dobrze, już dobrze... Bądź tak dobry, podaj mi papierosa i usiądź tu obok mnie na tapczanie, pogawędzimy ze sobą.

Harald podał jej zapałkę i usiadł naprzeciw na krześle.

— Dlaczego nie chcesz zbliżyć się do mnie? — zawołała z wyrzutem. Przecież wkrótce już zostanę twoją żoną!

— Wiesz dobrze, moja droga, jaki mam dla ciebie szacunek?

— Zapewniasz mnie zawsze o szacunku, a nigdy nie mówisz o miłości. Czasem zastanawiam się, w jakim celu sprowadziłeś mnie do Dumbarton.

— Prosiłem cię o rękę, Coro i mam zamiar cię poślubić. Sądziłem, że tytuł lady Dumbarton sprawi ci przyjemność...

— To prawda, drogi Haraldzie, oceniam ten zaszczyt w całej pełni, ale nie mogę żyć jak ptak w klatce. Jestem przyzwyczajona do wolności. Mam ochotę pobiegać trochę pod błękitnym niebem, posłuchać szumu fal nad morskim wybrzeżem, nacieszyć się kwiatami w ogrodzie. I dlatego proszę cię, abys poszedł dziś ze mną na długi spacer. Nie znam jeszcze dotąd całej wyspy. Podobno jej północne wybrzeże jest wspaniałe. Są tam wysokie, strome skały, o które z rykiem rozbijają się wzburzone fale.

— To wybrzeże jest istotnie bardzo malownicze.

— A więc chodźmy tam, mój drogi. Będziemy błądzić między skałami, trzymając się za ręce, przytuleni do siebie...

Lord zadrżał.

Instynktownie czuł niechęć do pięknej Francuzki.

— Nie odpowiedziałeś mi, Haraldzie, masz taką zamysłoną minę... Jestem pewna, że nie słyszałeś nawet tego, co do ciebie mówiłam.

— Musisz mi wybaczyć, ale nie mogę, niestety, towarzyszyć ci w tym spacerze. Mam kilka bardzo ważnych spraw do załatwienia. Wiesz, moja droga, jakie dziedzictwo zostawili mi moi przodkowie i jakie obowiązki w związku z tym na mnie ciąży.

— Jednym słowem, odmawiasz mi?

— Muszę, Coro!

— Bądź zatem łaskaw wyznaczyć mi kogoś do towarzystwa.

— Zabierz ze sobą pokojówkę.

— Tę Irlandkę, której nie znoszę? Chcesz zmusić swoją przyszłą żonę, aby przebywała wiecznie w towarzystwie swojej pokojówki? Haraldzie, tak gentleman nie postępuje. Powiedz Violetcie, aby wybrała się ze mną na spacer. To dziecko jest bardzo blade i świeże powietrze dobrze jej robi. Młoda, czternastoletnia dziewczynka, powinna się więcej bawić i nie siedzieć wciąż w zamkniętym pokoju!

Lord był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Cieszył się, że nie będzie musiał towarzyszyć swej przyszłej żonie. Nie czuł wielkiej sympatii dla pięknej cudzoziemki, a jej uroda nie robiła na nim wrażenia. Zdawał sobie nadto sprawę, że nie jest to kobieta, z którą mógłby przejść wspólnie przez resztę życia. Widział, jak na dłoni, jej płytkość, brak inteligencji, wady charakteru i złe skłonności. Ale tak głęboko ukochał Marię, że nie chciał się sprzeciwić jej pamięci.

Postanowił przeto nie robić przykrości Corze i zgodzić się na jej propozycję.

— Ale to nie wystarczy! — zawołała śpiewaczka, strząsając popiół z papierosa. — Violetta jest uparta i nie zechce przyjąć mojego zaproszenia, jeżeli ty mnie nie poprzesz. Uważam, że to będzie tylko z jej korzyścią, jeżeli pobawi się ze mną od czasu do czasu. Musimy przecież poznać się lepiej i pokochać.

— Masz rację, Coro! Pójdę zaraz do Violetty. O której godzinie chesz wyjść?

— Kiedy słońce będzie trochę mniej przypiekać. Powiedzmy o czwartej.

— Jeżeli pozwolisz, zabiorę ze sobą pokojówkę i lokaja. Ten ostatni będzie nam służył za prze-

wodnika. Urodził się na tej wyspie i zna ją doskonale.

— Zgadząm się na wszystko. Rzekłszy to, ucałował ją w rękę i wyszedł.

— Wyobrażam sobie, jaką walkę będzie musiał stoczyć ojciec z własną córką — szepnęła do siebie Cora. — Ta mała nienawidzi mnie. Ale Harald zmusi ją do posłuszeństwa, gdyż nie zechce mi się sprzeciwić. Te koronki robią swoje!

W tej chwili właśnie lord Dumbarton wszedł do pokoju swej córki.

Dziewczynka stała przed sztalugą, w jednej ręce trzymała paletę, a w drugiej pędzel...

Ze szkicu na płótnie można było poznać, że Violetta malowała portret swojej matki. Ujrzawszy ojca, krzyknęła głośno i szybko zakryła obraz.

— Przeszkadzam ci, moje dziecko? Malujesz?

— To jest niespodzianka dla ciebie, ojcze. Proszę cię, nie zaglądać!

— Naturalnie, że nie będę psuł ci przyjemności, którą chcesz mi zrobić. Przyszedłem tu, Violetto, aby...

Dziękuję ci, drogi papo, żeś przyszedł do mnie. Ostatnio bardzo rzadko mnie odwiedzasz.

— Jestem bardzo zajęty, dziecinko, przygotowaniem do mojego...

Harald zamilkł, nie chcąc wypowiedzieć słowa „małżeństwo“. Wiedział, że sprawi jej przykrość. Jeszcze nie zawiadomił jej bowiem o swoim projekcie powtórnego ożenku.

Ale Violetta domyślała się.

Lord Dumbarton przedstawił Corę jako damę do towarzystwa i wyraził życzenie, aby dziewczynka się z nią zaprzyjaźniła. Stało się jednak inaczej. Mała od pierwszej chwili poczuła bowiem do śpiewaczki wielką niechęć.

— Usiądź, ojcze, bliżej mnie — zawołała, obejmując go za szyję i całując. — Ach, gdybyś ty wiedział, jak ja cię kocham gorąco!

Lord wzruszony, objął ją.

— Jeżeli mnie kochasz, kochanie, nie odmówisz mej prośbie.

— Naturalnie, ojcze, zrobię wszystko, abyś był zadowolony.

— Napewno?

— Napewno!

— Bądź zatem grzeczna i pójdź na spacer z panną Corą Dessalines. Pragnie ona obejrzeć naszą wyspę w twoim towarzystwie. Ale co się stało? Zbladłaś, moje dziecko, i płaczesz?...

— Widzisz, ojcze, nie należy nigdy z góry niczego przyrzekać, jeżeli się nie wie o co chodzi. Odmówiłabym napewno...

— Ale dlaczego, kochanie? Panna Cora jest przecież bardzo miła.

— Tak, ona jest miła, ale... może za bardzo. Zawsze mi się zdaje, że nie mówi tego, co myśli. Jednym słowem nie uważam jej za szczerą. I ojcze... nie chciałabym ci sprawiać przykrości, ale... boję się tej kobiety!

— Boisz się! Oszalałaś chyba, moja mała! Ona przecież bardzo cię lubi i pragnie, abyś i ty ją polubiła. Gdyby żyła twoja najdroższa mateczka, powiedziałałaby ci to samo: pokochaj Corę Dessalines, gdyż nie znajdziesz lepszej od niej przyjaciółki.

— Ale skąd wiesz, ojcze, że mama by to powiedziała? — zapytała Violetta, wbijając pytający wzrok w lorda.

Odpowiedział zakłopotany:

— Ponieważ znam ostatnią wolę twojej matki.

— Ale jak to możliwe? Przecież mama nigdy nie widziała Cory Dessalines.

— Twoja matka widzi wszystko. Czy nie wiesz, że ona spogląda na nas z nieba...

Violetta zamilkła.

Lord uściskał ją serdecznie i jeszcze raz ponowił swoją prośbę.

— Zrobię to dla ciebie, ojczy, chociaż kosztuje mnie to dużo... Powiedz Corze, że się zgadzam.

— Dziękuję ci, moje dziecko. Emma i nasz stary lokaj będą ci towarzyszyli. Pocałuj mnie, maleńka i baw się dobrze!

Lord Harald złożył pocałunek na policzkach córki, mokrych od łez i dodał:

— Wierzę mi, kochanie, że twoja matka była tu z nami cały czas i słyszała naszą rozmowę. Ona wie dobrze, jak bardzo cię kocham i że całym swym postępowaniem zdążam do twojego dobra. Nie pytaj mnie o nic i nie mów nic, moje dziecko. Są rzeczy, których się nie rozumie w tak młodym wieku, ale w które trzeba wierzyć! Do zobaczenia, kochanie!

Kiedy lord odszedł, Violetta zbliżyła się do sztalugi, zerwała płótno i długo wpatrywała się w portret matki.

— Jesteś tu ze mną, kochana mameczko? To prawda? Jeżeli tak jest, to proszę cię, chroń mnie! Grozi mi nieszczęście. Obroń mnie, mameczko!

Tragiczna zabawa

Wycieczkowicze z zamku przybyli na północne wybrzeże. Cara Dessalines i Violetta szły razem na przedzie, za nimi pokojówka i lokaj. Emma była mocno niezadowolona z towarzystwa starego lokaja, który w czasie całego spaceru nie raczył wypowiedzieć ani jednego słowa.

— Jak tu cudnie! Jak pięknie! — zachwycała się śpiewaczka.

Violetta postanowiła być dla niej uprzejma, pamiętając o przyrzeczeniu, które dała ojcu.

— A teraz weźmy piłki i zagrajmy! — zawołała Cora. Założę się z tobą, Violetto, że wygram partię!

— Nie będzie w tym nic dziwnego, gdyż bardzo rzadko grywam w piłkę.

— Dlaczego? W twoim wieku?... Ale to się teraz zmieni, moja maleńka. Ja cię nauczę zabawy i uśmiechu!

Emma wyjęła piłki i na polecenie Cory przyłączyła się do zabawy razem ze starym Tarey'em. Francuzka wyjaśniła im reguły gry.

— Musicie dobrze uważać, gdyż każdy, kto nie schwyta piłki, musi jej sam potem poszukać. I nie będzie żadnej różnicy między nami a służbą.

— Halo, Violetto! Pierwsza piłka dla ciebie! Zabawa rozpoczęła się. Po chwili całe wybrzeże rozbrzmiewało krzykami i śmiechem graczy.

W pewnej chwili śpiewaczka zawołała:

— Spróbuj złapać tę piłkę, Violetto!

Piłka wyrzucona z wielkim zomachem, przeleciała nad głową dziewczynki i spadła gdzieś daleko, nad brzegiem morza.

Lokaj chciał pospieszyć na poszukiwania, ale Violetta powstrzymała go.

— Nie ruszaj się, Tarcy! To wybrzeże jest za strome na twoje stare nogi! A zresztą umówiliśmy się, że każdy musi podnieść swoją piłkę.

Po chwili pobiegła w kierunku skał.

— Zaczekaj, Violetto! — zawołała Cora. — Emma ci pomoże!

— Nie, dziękuję, chcę sama ją znaleźć — odpowiedziała dziewczynka, upojona powietrzem i zabawą. — Wrócę za chwilę i poproszę Cię o rewanż, Coro!

Na szczycie skały ukazała się sylwetka Violetty. Zsuwając się ostrożnie z góry, Violetta dojrzała wreszcie swoją piłkę. Leżała ona obok wielkiego kamienia, tuż nad wodą.

— Jest! Jest! — zawołała radośnie.

Rzuciła się w tamtym kierunku, wyciągnęła rękę, gdy nagle...

Z za skały wysunął się jakiś człowiek. Dwie silne ręce schwyły dziewczynkę, powaliły ją na ziemię i rzuciły do morza...

Napastnik wysoki mężczyzna z rudymi wąsami nie miał z tym wielkich trudności, gdyż Violetta od razu straciła z przerażenia przytomność. Fale zamknęły się nad niewinną ofiarą a prąd uniósł w głąb morza. Zbrodniarz zbiegł.

— W tej samej chwili od brzegu oderwała się mała łódka. Dwóch mężczyzn wiosłowało z całej siły. W pół minuty później Violetta spoczywała już na dnie czółna, a szlachetna męska twarz przyglądała jej się z troską.

— Omal nie przybyliśmy za późno, Tomie. Dzięki Bogu, zdążyliśmy ją jeszcze ocalić!

— Harry Dickson zastosował natychmiast przy pomocy Toma sztuczne oddychanie i po dziesięciu minutach krzyknął radośnie:

— Żyje!

— Czy odprowadzimy ją zaraz do ojca? — zapytał Tom.

— Nie, mój chłopcze! Będzie mi bardzo przykro, ale konieczne jest, aby lord uważał córkę za straconą. Powrócimy z powrotem na brzeg i zabierzemy małą do hotelu, ale tak, aby nikt jej nie widział...

— Śpi — szepnął, pochylając się nad śliczną twarzyczką Violetty.

— To niesłychane łotrostwo, aby nastawać na życie niewinnego dziecka! Ale teraz to się skończy!

Dickson wyciągnął zaciśniętą pięść, grożąc niewidzialnym zbrodniarzom.

Trudno opisać rozpacz lorda Dumbartona na wieść o zniknięciu córki. Zebrał on wszystkich rybaków, przetrząsnął całe wybrzeże i kazał zapuścić sieci, aby wyłowić przynajmniej zwłoki upióstrwanej dziewczynki...

Wyjaśniona tajemnica

Kiedy w dwa dni później lord Harald Dumbarton zagłębiony w fotelu, dumiał, zrozpaczony o swojej bolesnej stracie, zapukano lekko do drzwi. Ledwie zdążył odpowiedzieć, iż nie życzy sobie widzieć nikogo, drzwi się tworzyły i do pokoju wszedł wysoki mężczyzna.

Lord spojrzał z niechęcią na intruza. Ale sympatyczna twarz, mądre i szczerze spojrzenie jasných oczu były dziwnie znajome.

— Ja znam pana!... Boże drogi, czego pan sobie życzy, Mr. Dickson?

— **Przybywam, aby przywrócić** panu zasłużony spokój — odparł z mocą detektyw. **Przysięgam, mylordzie, że od jutra znów będzie pan szczęśliwy.**

— **Mnie pan mówi o szczęściu?**... Mnie, któremu los zabrał wszystko, co miałem najdroższego w życiu...

— **Mylordzie, proszę nie rozpaczać.** Córka pańska żyje! — zawołał Harry Dickson.

Lord Harald zachwiał się, ale detektyw podtrzymał go i szepnął mu coś do ucha.

Dumbarton ożywił się nagle i uściskawszy rękę detektywa, zawołał drżącym głosem:

— **Proszę mi przysiąc, że to wszystko prawda.**

— **Może mi pan wierzyć, mylordzie... Przysięgam!**

— **Wobec tego chcę zaraz zobaczyć** moją najdroższą Violetkę!... **Czy życiu jej zagraża niebezpieczeństwo?**

— **Nie, mylordzie.** Córka pana żyje i jest zupełnie zdrowa. Już jutro rano znajdzie się ona w pańskich ramionach, ale pod warunkiem...

— **Jakim?**

Zakomunikuje pan Corze Dessalines, że spędzi pan noc w wielkiej sali, w której ukazała się panu jego zmarła żona. Oznajmi jej pan pozatym, że ma zamiar przywołać ducha lady Marii i prosić go o pocieszenie w nieszczęściu.

— **Dobrze i co jeszcze?**

— **Potym uda się pan na miejsce, a mnie...** pozwoli schować się obok siebie pod stołem. To wszystko. Da mi pan tylko jeszcze słowo gentelmana, że nie wspomni pan ani słowem Corze Dessalines o naszej rozmowie.

— **Oczywiście, Mr. Dickson, skoro pan sobie życzy...** Ale przysięgam, że nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

★

Wielką salę w pałacu Dumbartonów oświetlały blade promienie księżyca, przedostające się przez szyby wysokich, gotyckich okien. W ich blasku widać było siedzącego przy stole mężczyznę, z twarzą ukrytą w dłoniach, zatopionego w rozmyśleniach...

Zegar na wieży wybił godzinę dwunastą.

Jednocześnie z otatnim uderzeniem... dał się słyszeć przy kominku lekki szelest i nagle zajaśniało oślepiające światło. Jakby z pod ziemi ukazała się na tle wysokiej kolumny smukła postać niewieścia, z twarzą okrytą gęstym woalem i przybrana... w królewskie koronki!

Mężczyzna krzyknął i padł na kolana.

— **Czy poznajesz mnie, Haraldzie?** — zapytało widmo ledwie dosłyszalnym głosem. Jestem Marią, twoją żoną.

— **Mario najukochańsza!** — zaszlochał mężczyzna, kryjąc twarz w dłoniach.

— **Tak, to ja jestem.** Przybyłam tutaj, aby cię pocieszyć. Nie płacz, kochany... nie martw się... Bóg powołał do siebie nasze dziecko, ale jest mu dobrze. Jest z mną. Znajdziesz pociechę w wiernym sercu Cory. Pośpiesz się ze ślubem, a potym...

Nagle „duch“ lady Marii przeraźliwie krzyknął.

Człowiek, ukryty pod stołem, wynurzył się nagle i zagroził wyciągniętym w kierunku widma rewolwerem.

— **Na Boga, nie strzelaj!** — krzyknął lord Harald, kładąc rękę na ramieniu detektywa. —

To moja żona... Maria!... Przybyła z zaświatów, aby powrócić do mnie!

— **Proszę się nie ruszać, bo strzele!** — zawołał groźnie detektyw — Harry Dickson nie wierzy w duchy i widma!

Zława drgnęła, jakby gotując się do skoku, ale detektyw rzucił się na nią, schwycił za szyję i powalił na ziemię.

— **Mylordzie, podejdź bliżej i przekonaj się,** jak cię oszukiwano!

Harry Dickson zerwał zasłonę i wówczas oczom osłupiałego lorda ukazała się twarz... Cory Dessalines. Detektyw w mgnieniu oka skrępował jej ręce i nogi.

— **A teraz zajmijmy się** współnikami tej czcigodnej damy! To oni ukartowali całą komedię, której pan padł ofiarą! Mylordzie, czy zechce mi pan towarzyszyć? Zareczam panu, że ujęcie matki i brata tej kryminalistki będzie drobnostką, rodzajem małej wyprawy... A potem zaprowadzę pana do małej Violetty.

— **Czy jest ona aby napewno zdrowa? Czy może** mnie pan zapewnić, że nic się jej nie stało? Mr. Dickson, proszę mi powiedzieć całą prawdę. Nie zniósłbym powtórnie zawodu.

— **Może pan być absolutnie spokojny, mylordzie.** Córka jest zdrowa i cała. Ten lotr, brat Cory, nie zdążył jej zrobić nic złego, gdyż wyłowiliśmy ją z morza natychmiast po wrzuceniu. Jak tylko przyszła do siebie, prosiła, aby zawiadomić ojca o jej ocaleniu. Niestety, nie mogłem spełnić jej życzenia. Dla dobra sprawy, trzeba było, aby ci, co uplanowali zgubę dziewczynki, myśleli, że ona rzeczywiście zginęła. Byłem pewny, że złoczyńcy zainscenizują wtedy jeszcze jedno przedstawienie, aby przyspieszyć ślub pana z Corą Dessalines.

— **Mr. Dickson, jakże** zdołam się odwdzięczyć za wszystko, co pan dla mnie uczynił!

— **Nie ma o czym mówić, mylordzie...** Teraz zdejmijmy te kosztowne koronki z tej przewrotnej kobiety, aby ani chwili dłużej ich nie brukać.

Piękna gwiazdo kabaretu „Picadilly“ nie staraj się opierać! Odtąd przez długie lata będziesz nosić na sobie zamiast tych wspaniałości kitel więzienny ze zgrzebnego płótna!

Spiewaczka milczała, z oczu jej natomiast sypały się iskry wściekłości i nienawiści.

Przed opuszczeniem zamku detektyw powierzył cudzoziemkę opiece starego Tarcy'ego, któremu sprawił tym wielką przyjemność, gdyż nienawidził on awanturnicy od pierwszego wejrzenia.

— **A teraz, Mr. Dickson, proszę mi** wszystko wyjaśnić, — prosił lord Dumbarton, kiedy opuszczał pałac w towarzystwie detektywa i Toma.

— **W tej całej sprawie jest** jeszcze dla mnie moc rzeczy niezrozumiałych.

— **Na razie i ja nie mam** jeszcze konkretnych dowodów, — odparł Harry Dickson — ale zdobęde je! Mam wrażenie, że słowa, które wypowiedziała na śmiertelnym łożu pańska małżonka, że powróciła na ziemię i wybierze odpowiednią matkę dla małej Violetty, dostały się do niepowołanych uszu. M-me Fadinard, dama do towarzystwa pańskiej zmarłej żony, stała pod drzwiami i podsłuchiwała.

— **Dlaczego właściwie,** zwolnił pan, mylordzie, M-me Fadinard z zajmowanej przez nią posady? O ile się nie mylę, nie należy pan do tego rodzaju chlebobawców, którzy bez przyczyny wyrzucają swoich pracowników za drzwi. Tym bardziej je-

żeli chodziło o osobę tak przywiązaną do pańskiej żony...

— Niestety, byłem do tego zmuszony — odparł lord Dumbarton. — Po śmierci mojej drogiej małżonki powierzyłem M-me Fadinard prowadzenie całego gospodarstwa. Ale wkrótce Tarcy ostrzegł mnie, że ta dama jest nieuczciwą. Początkowo nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi do jego słów. Ale później przekonałem się, że znika z palacu wiele kosztownych przedmiotów i dzieł sztuki i że to M-me Fadinard je kradnie. U antykwariuszy w Londynie znalazłem wiele starych i ulubionych przeze mnie przedmiotów, które Francuska sprzedawała za grosze. Nie pozostało mi wtedy nic innego, jak ją oddalić. Ale nie wyrzuciłem jej za drzwi, jak na to zasłużyła. Z uwagi na przywiązanie, jakim darzyła moją żonę, przyznałem jej stałą miesięczną rentę.

— Postąpił pan, jak gentlemen, mylordzie. Niestety M-me Fadinard nie potrafiła się panu odwdziżyć za tę hojność. To ona bowiem wymyśliła tę całą historię, aby zmusić pana do poślubienia jej córki.

Aby zrealizować swe plany, musiała ona pamiętać ostatnie słowa lady Marii, zawładnąć koronkami królowej. Wiedziała, że pańska małżonka została w nich pochowana, nie zawahała się nawet przed świątokradztwem. Wtedy to odegrała przed panem nędzną komedię, i wyzyskała w ohydny sposób pana głęboki ból, rozpacz, wielką miłość dla zmarłej żony.

— Przyznaję ze wstydem, że zakpięto ze mnie bezczelnie!

— Przybyliśmy na miejsce! — zawołał Tom, wskazując mały, jednopiętrowy domek.

Tutaj mieszka pod fałszywym nazwiskiem M-me Fadinard oraz jej synalek.

— Do kogo należy ten dom? — zapytał lord.

— Do kupca Browna, poczciwego i przyzwoitego człowieka, który na pewno nie ma pojęcia, jakiego rodzaju wyrzutek wpuścił pod swój dach. Zobaczycie jego zdumienie, gdy dowie się prawdy.

Tom Wills chciał zadzwonić, ale Harry Dickson powstrzymał go.

— Nie trzeba, mój drogi, zrobimy wszystko bez hałasu. Podaj mi wytrych, wejdziemy do domu niepostrzeżenie. Niech się pan przyjrzy, mylordzie, jak się to robi. A oto Mr. Brown!

W niewielkim, słabo oświetlonym przedpokoju znajdował się mężczyzna w szlafroku i rannych pantoflach. Jego wzrok wyrażał przestraszony Harry Dickson, uprzedzając ewentualny alarm, szepnął:

— Jestem detektywem — Harry Dicksonem — z Londynu, a ten pan, to lord Dumbarton. Niech pan nie krzyczy. Przybyliśmy tu w ważnej sprawie. Czy może nas pan zaprowadzić do pokoju, w którym moglibyśmy swobodnie porozmawiać?

— Niestety, mój najlepszy pokój jest wynajęty. Mieszka tam M-me Lunette, właścicielka domu mój z Paryża ze swym chorym synem.

— Właśnie o nich chciałem mówić... Niech się pan nie przeraża, Mr. Brown, ale to są zbrodniacy.

— Zbrodniacy?... Niemożliwe.. zapłacili mi czynsz z góry.

— No, to najlepszy dowód — roześmiał się detektyw, — nie chcieli wzbudzać żadnych podejrzeń! Niech mi pan powie, Mr. Brown, czy nie ma

sposobu, aby się dostać do ich pokoju, nie będąc zauważonym?

— Nie łatwiejszego. Te schody prowadzą do ukrytych drzwi, którymi można się tam dostać do wnętrza.

— Doskonale. Proszę mnie zaprowadzić. Muszę się tylko przebrać.

Detektyw stanął przed lustrem i pomalował twarz białą farbą, nadając sobie widmowy wygląd. Potem ściągnął marynarkę i włożył na siebie królewskie koronki.

— A teraz chodźmy! Tomie idź za mną i zabierz ze sobą rewolwer. Wiem, że strzelasz celnie!

— Możesz liczyć na mnie, mistrzu!

Obaj przyjaciele szli naprzód z największą ostrożnością, starając się nie czynić najmniejszego hałasu. Harry Dickson znalazł się wreszcie przed drzwiami.

— Czy są one zamknięte na klucz? — zapytał szepem Mr. Browna.

— Nie!...

— Tom, na posterunek!

Detektyw pchnął nagle drzwi, rozległ się huk strzału i zgasło światło.

Ciemności rozświetlała tylko blada księżycowa poświata.

★

Zanim tak niespodziewanie otworzyły się drzwi, M-me Fadinard i jej syn zajęci byli ożywioną rozmową.

Czy jesteś zupełnie pewna, że lord Dumbarton mimo wszystko ożeni się z Corą?

— Mam wrażenie, że teraz sprawa jest przesądzona. Po śmierci dziecka, jego równowaga duchowa jest tak zachwiana, że kiedy ukaże mu się Cora w roli zmarłej i nakaże mu się pospieszyć ze ślubem... wszystko skończy się dla nas pomyślnie. Cora zostanie lady Dumbarton, a my obłowimy się złotem!

— Ale jak długo to jeszcze potrwa? Czy myślisz, że mogę żyć w tej dziurze? Chcę wrócić do Paryża!

— Wrócisz, mój drogi, i nie będziesz musiał więcej włamywać się do cudzych mieszkań.

— Myślę, że Cora wyznaczy mi rentę miesięczną w wysokości przynajmniej 30,000 fr. Gdyby nie chciała, znajdę sposób, aby ją do tego zmusić!

— Co chcesz przez to powiedzieć? Zwarowałeś?! Chciałbyś zdradzić własną siostrę?

— Gdyby zapomniała o usługach, które jej oddałem... bez skrupułów otworzyłbym oczy memu zacnemu szwagrowi.

— Nie mów głupstw, mój drogi. Już nigdy nie zabraknie ci pieniędzy. Niech tylko ja dostanę się do palacu! Ujmę wszystko w swe ręce! A potem skończymy z tym idiotą Dumbartonem!

★

W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły, huknął strzał i zgasło światło.

— Co się stało? — zawołał Eugene. — Gdzie jesteś, stara?

— Tutaj!... Boję się... strasznie się boję. spójr tam... przy kominku!

Ale teraz i Eugene krzyknął głośno.

Przy kominku stało blade widmo, spowite w królewskie koronki. Oczy zjawy połyskiwały niesamowitym blaskiem.

— Nie poznajecie mnie? — zapytało grobowym głosem. — Czy sumienie nie wam nie mówi? Jestem lady Maria Dumbarton!

— Boże, bądź miłosierny! — zawołała M-me Fadinard. — Duch... prawdziwy duch..

— Łaski! łaski! — błagał złoczyńca, padłszy na kolana. Przysięgam, że nigdy nie zakłócę już spokoju Dumbartonów!

— Za późno! Łotrze! Gdy dotknę twego czoła moją zimną ręką, w proch się rozsypiesz.

W tej samej chwili Eugene poczuł na skroni lufę rewolweru i usłyszał stanowczy głos:

— Nie ruszaj się, bo strzelę! Jestem Harry Dickson i aresztuję cię w imieniu Jego Królewskiej Mości!

Tom Wills, Mr. Brown i lord Dumbarton wbiegli do pokoju.

Przestępcy zostali skrupowani i natychmiast odprowadzeni do więzienia.

Violetta znalazła się wczułych objęciach swego ojca i lkała z radości, okrywając jego twarz tysiącem pocałunków.

— Kochanie moje — zawołał lord, przyciskając ją do piersi — jesteśmy wreszcie uwolnieni od straszego koszmaru. Żadna obca kobieta nie przekroczy nigdy progów tego zamku.

Czeigodna rodzinna drogo opłaciła swoje aspiracje. Zamiast bogactwa i zaszczytów — przewód sądowy. Proces potwierdził wszystkie przypuszczenia Harry Dicksona. Matka Cory Dessalines była istotnie dawną damą do towarzystwa zmarłej lady Dumbarton. Podsluchawszy ostatnią rozmowę umierającej kobiety, postanowiła przy pomocy swego syna, znanego opryszka, wydać swoją córkę za lorda. Niestety, plany jej zostały pokrzyżowane.

Została ona skazana na 10 lat ciężkiego więzienia. Cora Dessalines dostała się do domu poprawy, a jej brata odtransportowano do Guyany na bezterminowe roboty.

Kiedy lord Warwick zaprosił znów do siebie słynnego detektywa, nie umiał znaleźć odpowiednich słów dla wyrażenia swej wdzięczności.

— Zwrócił pan spokój mojemu siostrzeńcowi, uratował życie niewinnemu dziecku i zapobiegł hańbie, która groziła naszemu rodowi! Takich usług nie można opłacić pieniędzmi. Mr. Dickson, ofiaruję panu moją przyjaźń!

Przyjmuję ją z radością, mylordzie — odparł wielki detektyw, ściskając gonąco dłoń lorda Warwicka.

K o n i e c .



Następny **Nr. 12** Harry Dicksona, który ukaze się we wtorek, dnia 29-go marca zawierać będzie przygodę p. t.

„KAPŁANKA OGNIĄ”

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Te bowiem znakomite jego zdolności pozwalają mu poruszać się bez obawy zdradzenia się zarówno wśród sfer arystokracji, jak i najniższych warstw społecznych, nawet tam, gdzie męty i szumowiny knują swe zbrodnicze plany.

Harry Dickson walczy **ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłądą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

1. „Wyspa Grozy“.
2. „Tajemnica egzotycznego władcy“.
3. „Alarm w przestworzach“.
4. „Dom na moczarach“.
5. „Ludzie bez adresu“.
6. „Szalony burmistrz“.
7. „Grająca wieża“.
8. Król Nocy.
9. Posepna kabała.
10. Tajemniczy Trybunał.

Czytacie

Czytacie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

10gr.

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

szyt, stanowiący oddzielną całość

Cena

10gr.

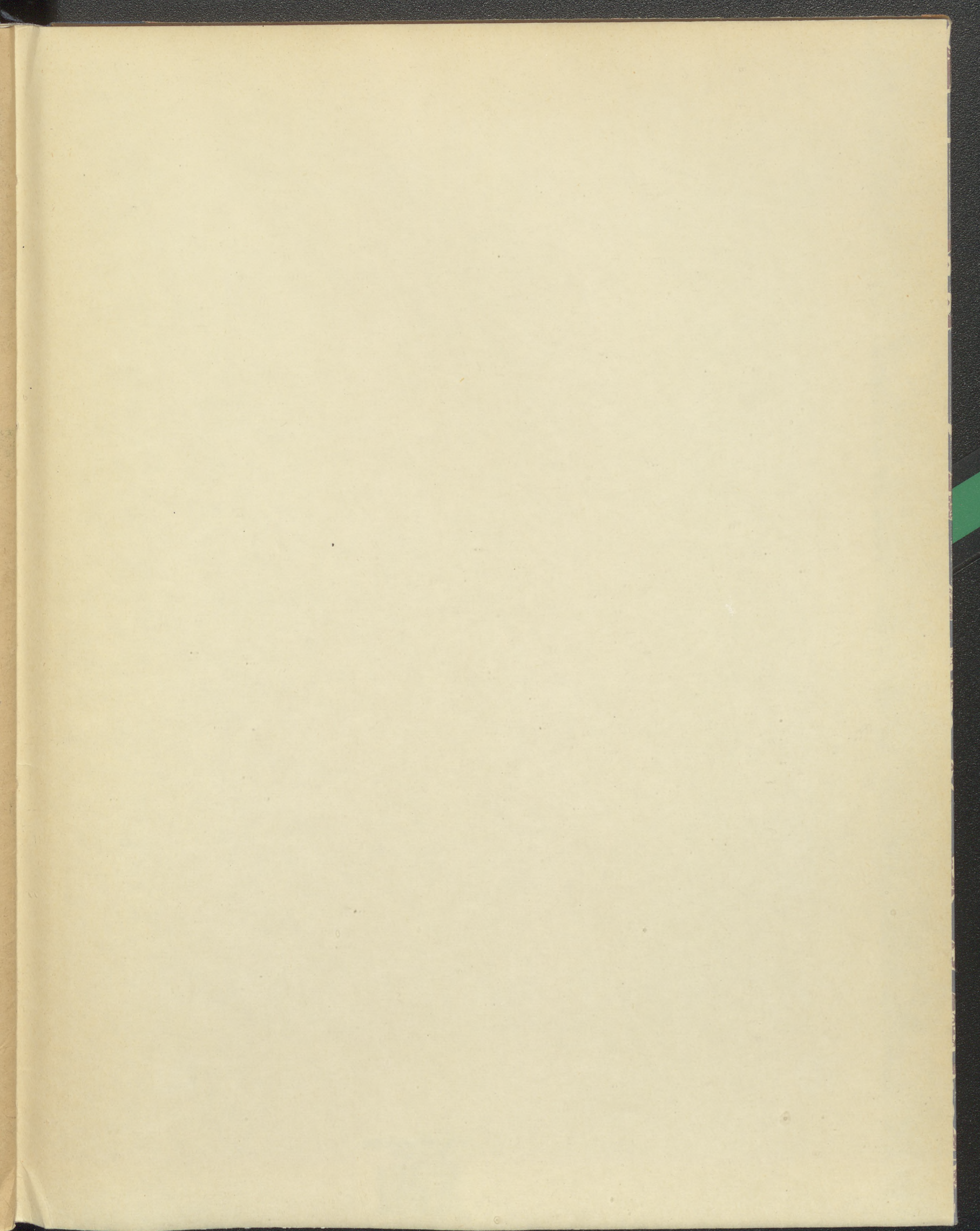
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak.

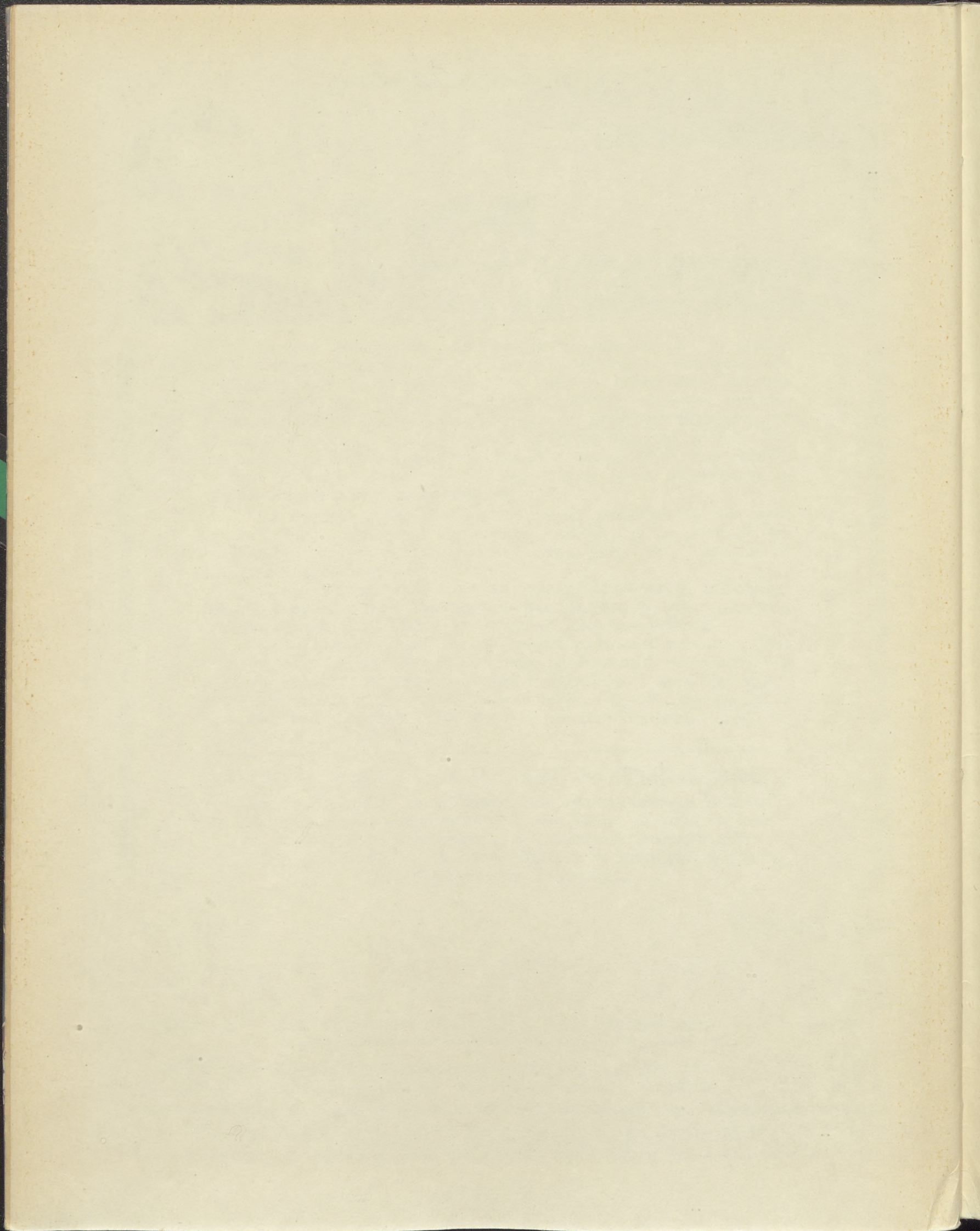
Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Konto PKO 68,148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 9, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

2685/38





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024365862





2dj
623405

11

